13

Cena 7 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III — Łódź, 17 lutego 1946 r. — Nr. 6 (34)

KAZIMIERZ BUDZYK

O chłopską szkołę

NIEPOKOJĄCA LUKA

„Wieś" zdobyła sobie dobrą sławę — ideowego i bezkompromisowego pisma. Główną jej troską jest podniesienie do ogólnonarodowego poziomu klasy spychanej dotąd do roli życiodajnej gleby, która została ujarzmiona i jest uprawiana po to, by dobrze spełniała narzucone jej zadania. Wiadomo przecie: chłop żywi i broni. Akcja w kierunku uaktywnienia społecznego i kulturalnego chłopa nie ma nic wspólnego z partykularyzmem stanowym — jest to sprawa ogólno-narodowa. Dlatego też pionierski charakter „Wsi" nakłada na nią obowiązek czujności wobec wszystkich dziedzin życia społecznego, które są ważne dla urzeczywistnienia stawianych przed sobą celów. Dobrze jest, że „Wieś" pragnie wprowadzić i rzeczywiście wprowadza chłopów do areopagu twórców kultury narodowej, źle natomiast, że nie zatroszczyła się dotąd o stworzenie warunków, które mogą spowodować nie jednostkowe przenikanie, lecz masowy napływ najliczniejszej klasy społecznej na „niepokalane" do niedawna chłopską stopą tereny twórczości. Oczywiście mam tu na myśli instytucję, która jest naturalnym zapleczem wszelkiej kultury — a mianowicie szkołę.

Obok reformy rolnej, która wyrównała nareszcie wiekową krzywdę chłopa, zreformowanie szkolnictwa w myśl interesów wyzwolonej do życia społecznego klasy chłopskiej jest najpilniejszym zadaniem i najtrudniejszym zagadnieniem, którego rozwiązanie nada właściwy sens rewolucji gospodarczej, jaka dokonała się na wsi. Reforma szkolna się robi. Rozpoczęły ją elementy demokratyczne, mające duże zrozumienie dla pozycji, jaka się chłopu należy, i pełne jak najlepszej w tym kierunku woli. Mimo takiego stanu rzeczy przy tej pracy chłopa nikt nie może zastąpić. Zbyt ważna i wielka to sprawa, by się w tym można na kogokolwiek opuszczać. Bo przekonania demokratyczne i dobra wola to jeszcze nie wszystko. Trzeba znajomości warunków oraz świadomie postawionych i liczących się z nimi celów, konieczne jest wprowadzenie odpowiedniej hierarchii potrzeb, nieodzowna jest umiejętność należytego zespolenia treści kulturalnych z działalnością gospodarczą.

Wszystko co najlepsze pod adresem szczerych demokratów i dobrej woli reformatorów szkolnictwa. Ale przecież są to inteligenci, którzy wsi i jej potrzeb nie znają. Czyż więc może tu chłopa zabraknąć? Czyż nie jest to bardzo niepokojąca luka w zainteresowaniach kulturalnych „Wsi"?

CHŁOPSKA INTELIGENCJA

Tego rodzaju określenie nielicznych stosunkowo jednostek, które zdołały przedrzeć się przez zapory stawiane w szkole elitarnej przed wojną, przez długi czas było, a niekiedy jest także i teraz określeniem fałszywym. Szkoła nie produkowała przed wojną inteligencji chłopskiej. Była to bowiem inteligencja tylko pochodzenia chłopskiego. Dobrze ona świadczyła o biologicznej prężności klasy, obalała zastarzałe mity o wyższości intelektualnej klas posiadających, ale była przy tym kompromitującym dowodem braku spoistości społecznej chłopów. Inteligent pochodzenia chłopskiego powiększał kadry inteligencji miejskiej i rzadko kiedy stawał się zalążkiem kadr inteligencji chłopskiej.

Dwie tu głównie działały przyczyny. Wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że zagadnienie inteligencji jest natury przede wszystkim społecznej a nie gospodarczej. Wiemy natomiast, że inteligencja pochodzenia wiejskiego powstawała głównie nie z racji zapotrzebowania społecznego własnej klasy lecz z powodów ekonomicznych. Wieś wypychała od siebie tych, których nie potrafiła zatrudnić. Była to więc swego rodzaju emigracja gospodarcza, która musiała pociągać za sobą emigrację społeczną. Na wieś wracały z powrotem jednostki których miasto nie potrafiło wchłonąć, jednostki z tego powodu wykolejone, choć z biegiem czasu odnajdujące swe miejsce w społeczności wiejskiej i tworzące w ten sposób kadry właściwej chłopskiej inteligencji.

ROLA SZKOŁY NA WSI

Wygląda to na paradoks, ale szkoła pracowała dla wsi wtedy, gdy nie spełniała swego właściwego zadania, t. zn. gdy nie potrafiła zapewnić awansu społecznego uczącej się młodzieży chłopskiej. Była to bowiem szkoła nastawiona na pracę dla miasta. Tam można było rozwijać nadal swe wykształcenie, tam tylko było możliwe podtrzymywanie i realizacja potrzeb kulturalnych wyniesionych ze szkoły. Na gruncie wiejskim nauka zdobyta w szkole nie dawała się wcale zastosować: była po prostu zbędna. Poza elementarnymi sprawnościami kulturalnymi (czytanie i pisanie) reszta była uciążliwym balastem, którego chłop się chętnie pozbywał. Czasem nawet pozbywał się także i tych cennych przecie sprawności — stawał się wtórnym analfabetą!

Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy był brak zapotrzebowania społecznego na inteligencję we wsi. Nie tłumaczy to jednak zjawiska, dlaczego szkoła nie przyczyniła się wobec tego przynajmniej do samego tylko podniesienia kulturalnego wsi, dlaczego osiągnięcia uzyskane w szkole nie miały w oczach chłopa wartości. Niezależnie od struktury społecznej wsi wina leży także po stronie szkoły. Dlatego też nawet najbardziej radykalna zmiana w strukturze społeczności wiejskiej nie wpłynie decydująco na przywrócenie szkole odpowiedniego znaczenia także i na wsi, jeśli nie przeprowadzimy reformy. Jakie treści mają tej reformie podlegać i w jakim ma ona przebiegać kierunku?

CHARAKTER SZKOŁY INTELIGENCKIEJ

Dotychczasowa szkoła przystosowana była do pracy na korzyść miasta. Rozwijała wartości, które tam miały uznanie z punktu widzenia jakichś absolutnych kryteriów, nie kontrolowanych żadną konkretną sytuacją życiową. Szkoła rozwijała t. zw. osobowości. Wartość jednostki mierzyło się stopniem rozwoju tej osobowości, ocenianym na płaszczyźnie bezinteresownie pojmowanych ideałów, takich jak odpowiedni poziom moralny, wykształcenie, ogólna inteligencja, zdolność pobierania dóbr kulturalnych, czy wreszcie dobre wychowanie. Tak pojmowana osobowość była wartością absolutną, która domagała się uznania ze względu na sam fakt swojego istnienia. Wcale nie umniejszało jej wartości, jeśli nawet było to istnienie całkowicie bierne, i jeśli wykształcone funkcje miały charakter wyłącznie konsumpcyjny. Nikt nie pytał o to, co ten człowiek robi, ważne było — czy jest inteligentny, czy posiada odpowiednią legitymację na członka ekskluzywnej grupy inteligencji.

Wartość szkoły dla wsi malała niemal do zera także i przez to, że panują tam zupełnie inne kryteria wartości. Jeśli niedoszły, nie wchłonięty przez miasto inteligent wracał do swej rodzinnej wioski, spotykał się zwykle z bardzo zimnym przyjęciem. Wieś bowiem nie uznaje absolutnej wartości wykształconej bezinteresownie osobowości człowieka. Jedynie ważnym kryterium oceny jest na wsi działanie, które wyrazi się w konkretnie określonej sytuacji społecznej jednostki i jej roli w procesie wytwórczym. Wieś nie jest bezinteresowna — ona jest materialistyczna i właśnie to o niej jak najlepiej świadczy. Z tego też trzeba wysnuć odpowiednie konsekwencje dla szkoły.

SZKOŁA CHŁOPSKA

Szkoła musi być gruntownie zreformowana, jeśli ma odegrać na wsi dużą naprawdę rolę. Musi to być szkoła, któraby wzięła na siebie obowiązek wykuwania świadomości społecznej wsi, która pozatem zwiąże się z jej działalnością. Wiedza zdobyta w szkole i wszystkie opanowane w niej sprawności muszą być zastosowalne społecznie lub gospodarczo. Jakież można stąd wyprowadzić najogólniejsze sugestie praktyczne?

Społeczna zastosowalność wiedzy nabytej w szkole może mieć dwojaki charakter. Z jednej strony będzie tu chodzić o nawiązanie do chłopskiej tradycji kulturalnej, historycznej i artystycznej, z drugiej zaś o wywołanie trwałych zainteresowań kulturą ogólnonarodową. To ostatnie możliwe jest do osiągnięcia głównie przez rozbudzenie ambicyj społecznych jednostek, przez ścisłe związanie młodzieży z instytucjami i organizacjami społecznymi na wsi. Jeśli tych zainteresowań kulturalnych nie będziemy lokować przede wszystkim w życiu pozaszkolnym ucznia, zemrą one własną śmiercią w momencie gdy obowiązek szkolny się skończy.

Gospodarcza zastosowalność znajdzie miejsce przede wszystkim na terenie rolniczym i przez usprawnienie prymitywnej, choć wszechstronnej umiejętności operowania najprostszymi narzędziami, które są zwykle przy gospodarstwie w użyciu. W szkole powszechnej będzie tu chodzić o naukę przyrody i prace ręczne. Już na tym poziomie powinien uczeń uzyskać gruntowne przygotowanie do szkół rolniczych i rzemieślniczych. Z innych przedmiotów do ścisłego zbliżenia materiału szkolnego z życiem nadaje się jeszcze arytmetyka i rysunki, te ostatnie po przez liternictwo, reklamy i rysunek techniczny.

Mniejsza zresztą o takie czy inne sugestie. Wysunąłem je tylko dla wypełnienia problemów konkretną treścią. Właściwe rozwiązania muszą być wypracowane w terenie. I dlatego wszyscy działacze, którym leży na sercu troska o rozwój kultury wsi, powinni gruntownie ten problem rozważyć, zanalizować możliwości i wskazać praktyczne wyjście z sytuacji. Na nich właśnie spoczywa cały ciężar przepracowania reformy chłopskiej szkoły. Najlepiej do tego przygotowani i najlepszej woli inteligenci nigdy nie potrafią dobrze tego wykonać.

Zaś pod adresem redakcji „Wsi" apel: niech dla wypowiedzi działaczy terenowych nie zabraknie miejsca w specjalnej, stale prowadzonej rubryce; — niech się rozpocznie dyskusja, która prześwietli na wylot powstającą na nowo szkołę, w związku ze zmienioną rzeczywistością społeczną i gospodarczą; — niech Redakcja podejmie wobec tego i na tym odcinku pionierski ruch, bo idzie o rzecz wielką: idzie o to, by rozwój kulturalny wsi nie pozostał w tyle za przemianami na gruncie społecznym i gospodarczym.

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Pachnie kwiat lipy*)

Pachnie kwiat lipy, pachnie bez
na płocie niby na szafocie.
Jak zawsze wciąż ja o tym płocie
przez wojny śnię daleki kres.

I bój i płot – jest – ot – i był!
a ja? — porachuj, co się działo!
Nie zgadniesz, co jest, co się stało,
choćbyś o czaszkę klinem bił!

W „trzydziestce" kres, sędziwy wiek!
Gronami gruzu i jemioły
porosły książki, muzy, „szkoły",
kraju mój, kraju, coś mnie strzegł!..

Cóż, że gdy szukam wzdłuż i wszerz
i macam, widzę pod pokryciem
iż to, czym żyję byle życiem,
podobne głębi dzieży dzież?

I myślę, że nad dzieży zrąb,
że krew krawędzi nie dociecze,
po strasznej rzezi tej, człowiecze,
nie chleb by wyrósł, ale dąb?

Tętni krok śmierci, kuje młot –
i jaki żal – ach wiosno, gaju —
nie doczekamy w naszym kraju,
doczeka tylko bez i płot.

W „trzydziestce" kres, ach! świeca tli –
tak mało! – gdzie jest krok wielkości?!
Tragiczna moja ty młodości,
te wiersze ofiaruję ci!

Odkupienie kraju widzialnego

Opadło tysiąc bomb, grad mieczy
na piersi i sukienki drzew –
ryk bydła, kość grud, leśny śpiew –
przelano krew za wszystkie rzeczy.

Opadły pętel miliony
na pieśni brzóz i pługów strój –
krew całą wylał Jezus mój
za pług i woły – nieskończony.

Dymami krematoriów skuli
imiona lasów, gór i mgieł,
na cło największe z wszystkich ceł —
w kraj śmierci – cięli, rozmierzali, pruli...

Widział-ci Ten, co się spodziewał
rychłego krzyża, oczu dnem –
i pilnie z nami dzień za dniem
za wszystkie sprawy krew przelewał.

*) Wiersze z tomu „Kraj".

Wiersze Zygmunta Sierpa



rys. St. Cieloch

Zygmunt Sierp, ur. 17.12. 1903r. w Warszawie, pochodzi ze środowiska wiejskiego. Ojciec jego wiejski kowal w Mszczonowie, wyemigrował do Warszawy, gdzie pracował jako robotnik. Matka — chłopka zarabiała w mieście karmieniem dzieci fabrykanta. Z pośród ośmiorga dzieci jeden Zygmunt zdobył wykształcenie średnie a potem o własnych siłach — wyższe.

Obecnie pracuje jako nauczyciel szkoły średniej w Łodzi.

Jako poeta zajął Sierp w grupie „Wsi“ stanowisko zupełnie własne i wysoce oryginalne. Poezja jego jest właściwie mocno „antypoetyczna“: rzadko odzywa się w niej czysty liryzm, rzadko poeta przemawia od siebie. Lirykę Sierpa cechuje intelektualizm i silna tendencja społeczna. To charakterystyczne przezwyciężenie lirycznego egotyzmu i sentymentalnego rozliryzowania zbliża Sierpa do poety Zaołzia, Pawła Kubisza. Ale gdy Kubisz jest poetą żywiołowym, u którego liryczny patos często rozbija i obraz poetycki i samą konstrukcję wiersza, Sierp jest zawsze opanowany, nigdy nie podnosi głosu. Inspiracja twórcza bowiem u Sierpa częściej jest natury intelektualnej niż emocjonalnej.

Klasyczna poetyka nakazywała z obrazu wysnuwać refleksję. Sierp postępuje odwrotnie: szuka poetyckich obrazów dla refleksji stara się przemieniać na poezję stany intelektualne. O ile normalnie poeta (nie wyłączając nawet awangardzistów w stylu Przybosia) musi często hamować swoją poetycką inwencję, by nadmiar skojarzeń emocjonalnych i obrazowych nie zburzył mu koncepcji utworu, to Sierp należy w tym względzie do szczęśliwych wyjątków, u których sam pojęciowy schemat utworu zarysowany jest od początku bardzo jasno i wyraziście. Jest to urodzony konstruktywista: chłopski Peiper. Ale tylko intelektualistyczny konstruktywizm łączy Sierpa z Peiperem, wolny jest nasz poeta od typowej dla ojca polskiej Awangardy poetyckiej manii barokowego zdobnictwa, przytłaczającego utwór nadmiarem stylistycznych ozdób i zawijasów. Wiersze Sierpa są jasne stylowo i wyraźne ideologicznie. Nie ma w nich żadnych nastrojowych mgiełek, żadnego grania efektami czysto zewnętrznymi i obliczonymi jedynie na hypnotyzowanie czytelnika.

Poezja Sierpa jest dla nas niesłychanie ważna jako przykład **świadomej pracy konstruktorskiej.** Stanowi ona praktyczne przełamanie mitu o t. zw. talencie jako jedynym źródle twórczości. Z „talentyzmem“ zaciętą walkę teoretyczną prowadził nieodżałowanej pamięci Karol Irzykowski. Sierp wydał temu fetyszowi intelektualnych nierobów walkę trudniejszą, bo na terenie praktyki twórczej. Czy z walki tej wyjdzie zwycięsko? Trudno jeszcze mówić o tym coś pewnego w tej chwili. W każdym bądź razie już jako próba realizowania poezji nawskroś intelektualnej, nawskroś świadomej wiersze jego zasługują na to, by zwrócić na siebie uwagę krytyki.

Węzły

**Noszę w oczach utajone dzieciństwo
i pamiętam spotkania z polną gruszą,
na której wiatry wygrywały marsze
i biegły dalej zasypanym śladem,
który goniąc zgubiłem fujarkę pastuszą
i wierzby służebne w ukłonach
[poddańczych —
teraz tam noc im wpina księżyc jak broszę
i wabi dziewczyny omdlałą bladością,
lub, usiadłszy w gałęziach, udaje kokoszę
na przędziwnej grzędzie,
której ranek sypnie srebrnym grochem
[rosy
(gdy kokoszy i grzędy nie będzie),
teraz, gdy tam słońce obchodzi podwórka
i szczerzy zębami w bronach,
a brony w podskokach oberka
trzymają ziemię w swych szponach,
już się nie dziwię dziwnemu
węzłowi słońca i ziemi.**

Przygoda w dzień biały

**Nie mogłem się rozminąć z szumem łąki
dwukośnej,
ni z samodziału wiejskich myśli
tkać wielmożny poemat
cacko,
co obowiązuje
literacko,
niechłopsko,
ale-m umiał podziwiać drewniany geniusz
cieśli
od przyciesi do krokwi — — —
trudno było wiosennym pługom
wyorać ziemi wyraz nowy,
ale łatwo nasycić sień
porankiem wierzbowym,
bowiem
ciężko wydostać się słowom
przez widnokrąg oczami pisany,
chociaż biały motyl południa — słońce
frunie tętnem mych bosych godzin
w przygodę nienazwaną...**

Opowieści dzwonnicy

**Poprzez gąszcz kasztanów stare oczy dzwonnicy
patrzą w rok kościelny obrzędowej igraszki,
sypiącej chabrami i dymiącej obłokiem,
w której lud uwielbia dobrotliwe obrazki:**

**Święty Józef cieśla choć bazylik nie stawiał,
lecz w kościołku wiejskim mieszka czasu już kawał,
stary i stateczny to parafii gospodarz
na tamten świat chłopów liturgicznie wyprawia.**

**Święty Szczepanowski, święty Kostka Stanisław,
święte Odrowąże — tych świętych cała kopa,
święta cała szlachta i święta zagranica,
Niemiec, Włoch i Francuz, a brak polskiego chłopa.**

**A Stacho Papczyński, syn chłopa z Podegrodzia,
księdzem — z królem polskim na odsiecz Wiednia polazł,
potem wiejskim dzieciom roznosił elementarz —
dwieście lat już czeka na kanoniczny obraz.**

**Dzisiaj tak jak dawniej idą chłopy gromadnie
drogą wydeptaną wielkim postem, wniebowzięciem,
gdy czas się rozdzwania igraszką świętą wytchnień —
wyczekują, bo wierzą w wielkich rorat nadejście.**

Motyle

Kolegom piszącym

**W naszych oknach jest jasno
we dnie i w nocy,
wszystkie drzwi otwarte na oścież,
stół serwetą w motyle nakryty —
każdej chwili przyjść mogą
nieproszeni goście —
pod wieczór
ćmy na skrzydła niewinne
z lampy światło nam kradną
i unoszą
w ciemność,
w naszych wierszach na przekór
dni się kłócą
i wieczność.**

Smutek patrzenia

**Jest smutek taki, który łzą nie spływa,
jest smutek ciszy jak nagość wyraźny —
przez ócz zdziwienie cień i brzask
[przepływa
i na ramionach ciężarem się waży**

**Jest smutek taki, gdy mowa ci ciąży —
milczenie niesie zapach pięciu zmysłów,
brzęcząc nadziei złoconą obrożą —
wtedy ocierasz potu myśl nieczystą —**

**toniesz we wzroku szaromałej liszki,
a myśli wszystkie, które świat zbierały,
kryją się w ulach, które mróz uciszył
i jesteś — anioł od smutków zbielały.**
1.I.46 r.

Smak jesieni

**Zamknij usta spłowiałą ciszą — — —
pochylona zaduma słoneczników
chłonie zapach ziemi,
a zielona młodość drzew
drżąc odeszła z gałęzi
rdzawym obłokiem puchu
i teraz
ciepły sen obór okrywa
i zamiera
mierzwą snów o kwielniu;
jeszcze przed tobą
wrzosowy fiolet płomieni podpala las
i wysokopienne echo
pęka w pochylonym pułapie,
nim utonie w krwiordzawej sieci chmur;
jeszcze przed tobą
wysokie odloty
piewcy rozpoznanych przestrzeni,
a ty skupionym wysiłkiem warg
przeżuwasz smak jesieni.**

STEFAN LICHAŃSKI

Ku realizmowi i humanizmowi

Kiedy po raz pierwszy przerzucałem nowy tomik Ożoga*) zainteresował mnie wiersz „I polskie działa“, wiersz świeży, nowy, oryginalny — a przecież przypominający coś dobrze znanego. I dopiero gdy zorientowałem się, że to „coś“, co tak uparcie zestawiało mi się z utworem Ożoga, to „Polonez artyleryjski“ z „Karmazynowego poematu“ Lechonia, uświadomiłem sobie w pełni ważność tej konfrontacji

Wiersz Lechonia — to prawdziwy popis werbalnej wirtuozerii:

*Za nami mówić będą ciszą,
i łzami, i modlitwą.
Armatom ognia! Niechaj dyszą!
Hej, ognia, ognia! Słyszą, słyszą,
że w bitwie idziem bitwą!
Konnicy — koniem, zbrojną ręką
po swoje iść piechocie,
jaką grał Bem pod Ostrołęką,
taką nam zagrać dziś piosenką...*

Wszystkie typowe motywy, wszystkie najcharakterystyczniejsze rekwizyty poezji żołnierskiej, od legionów Dąbrowskiego poczynając na legionach Piłsudskiego kończąc, zostały tu jeszcze raz zebrane i z nich ułożył poeta lśniącą mozaikę słów - haseł, słów - symbolów, z których każde wywołać m u s i wiadomą i określoną reakcję u czytelnika, wychowanego pod urokami poezji patriotyczno-bohaterskiej A przytem elementy owej poezji zestawione zostały z nielada wyrafinowaniem, osadzone na rusztowaniu efektownej a zarazem łatwo uchwytnej melodii muzycznej, wzmocnione w działaniu zręcznie użytym refrenem, podkreślone umiejętnie zaznaczonymi pauzami. Wiersz - cacko, wiersz—majstersztyk, ale co w tym wierszu jest z Lechonia poza owym technicznym majsterstwem? Gdyby nie wyraźne apostrofy poety do współczesnych mu osób, nie wiedzielibyśmy, czy to nie wiersz o powstaniu kościuszkowskim lub listopadowym. Sama bowiem koncepcja i ideologiczna i formalna „Poloneza artyleryjskiego“ jest nieindywidualna i niewłasna, jest ten utwór niewątpliwym arcydziełem banału.

A oto fragment z wiersza Ożoga:

*Złote skrzydełka włosów Tej,
co lufy armat kierowała,
a skąd padł strzał, tam chłopcy trzej.*

*Jeden wzdłuż mapy wodzi kciukiem,
młodszy — u korby, a machina
z rąk trzecich ssie wymiączko—jaszcz.
Kulę za kulą śle półłukiem
zgnieciona grusza i kalina,
brzeg rzeki, krzyż i las i chaszcz.*

A co? Nasz bój!

Tak, to n a s z bój. W wierszu Ożoga strzela nie jakaś mityczna „bateria wściekłej stali“, strzela konkretne działo polowe, które wraz ze swoją obsługą pokazane jest w konkretnym obrazie, narysowanym paru kreskami, ale jednak z uwzględnieniem najważniejszych i najpotrzebniejszych realiów.

A teraz inna sprawa: u Lechonia „chmury chmurzą brunatne z armat dymy“, o kanonierach mówi się, że są „od ognia czarni, dymem syci i wiecznie czuwający“, pewność zwycięstwa podkreśla się zwrotem: „pułk się za pułkiem w śmierć przepycha“. To nie są żadne obrazy, to są tylko takie „aluzje obrazowe“, gierki literackiego frazesu, apelujące niby to do współtwórczości czytelnika, ale w sposób wzruszająco prymitywny, bo czytelnik ze stu pięćdziesięciu pięciu podobnych utworów już dobrze wie, co mu autor sugeruje za pomocą właśnie tego lub owego skrótu czy aluzji, a autor też dobrze o tym wie, że czytelnik wie — i tak się bawią w ciuciubabkę — na umówionego. U Ożoga nie ma nic z tego kuglarstwa literackiego. Ożóg, przeciwnie, rozbija szablon, „uziemia“, urealnia obraz, który zaczyna mu symbolicznieć:

*Słonko od wschodu do zachodu
w gardziel baterii wpycha paszę,
i masz wrażenie, że w tej wsi
o zmierzchu płuca wszystkich stodół
rozrywa rdzawy, suchy kaszel...*

Ponieważ już poprzednio poeta zaktywizował elementy krajobrazu (por. cytowany powyżej fragment), ponieważ kazał płakać wierzbom i wzgórzom — daje przeciwwagę tamtego patosu porównując ogień artyleryjski do kaszlu stodół, chwyta wyrywającą się ku niebu symbolów wizję w sieć realiów. Ale realia te to nie natłok reportażowo notowanych fragmentów „rzeczywistej rzeczywistości“, lecz podbudowa i odskocznia do parabolicznie dźwigającej się wzwyż metafory. Oto po obrazie stodół, których płuca

rozrywa rdzawy, suchy kaszel —

dalszy ciąg wiersza brzmi:

*a las nie umarł, ale śpi.
A w śnie tym: pług i sierp i szpon,
białego orła łeb okuty,
błysk skrzydła, hełmu twardy glon.*

Na obraz ten warto zwrócić szczególną uwagę. Poeta za tło pozycji artyleryjskiej i wsi, o którą toczy się walka, daje ciemną smugę lasu. Na pierwszym planie: huk armat, pożary, zwichrzony bitwą krajobraz — a w dali czarny, spokojny, nieruchomy las, jaskrawo kontrastujący z niepokojem i chaosem pierwszego planu. Ten kontrast powoduje wrażenie, że las jest w całości obrazu elementem biernym, wyłącznie tłem, stąd określenie „śpi“; stąd wrażenie, jakoby las był umarły. Czemu jednak owa wzmianka o lesie ujęta jest w formę zdania parafrazującego znany werset z Ewangelii: „Nie umarła dzieweczka, ale śpi“? Las polski — to polska partyzantka, to ostatnie strzępy niepodległej Polski, które przetrwały jako wolne całą okupację. To też las śni, śni sen o odwecie i wolności. A więc las to symbol partyzantki? Właśnie że nie. Las to jej integralna część, las i „leśni chłopcy“ — to pojęcia tak zrośnięte ze sobą, jak mundur i żołnierz. Munduru nie można nazwać symbolem żołnierza, ani lasu symbolem partyzantki. Zmieniali się partyzanci, ale trwała partyzantka i trwał las, jako jej teren. I dlatego las nie jest tu traktowany ani symbolicznie ani antropomorficznie. Należałoby raczej mówić tu o przerzutni: poeta przerzuca na las to, co odczuwali „ludzie z lasu“. Metafora jest tu nie figurą retoryczną w ścisłym tego słowa rozumieniu, lecz przedłużeniem, konsekwencją poetycką rzeczywistej sytuacji.

Wracam tu jeszcze raz do cytowanego na początku fragmentu z opisem armaty:

*Kulę za kulą ślą półłukiem
zgnieciona grusza i kalina,
brzeg rzeki, krzyż i las i chaszcz.*

*) *Jan Bolesław Ożóg: KRAJ, poezje — Kraków, 1945, Związek Zawodowy Literatów Polskich.*

Symboliści przyzwyczaili nas do patrzenia na słowa poety jako na znaki, symbole, po przez które przebłyskuje wieczne światło Ab. solutu. Słowo nie było dla nich niczym kon-kretnym, było tylko maską, aluzją, za którą kryć się miało coś, czego już słowami wyrazić niepodobna. Jeślibyśmy według wskazań sym-bolicznej poetyki zechcieli analizować cytowa-ny powyżej fragment Ożoga, utkniemy od razu w trudnościach, nie do rozwikłania. U Ożoga bowiem słowo występuje w swojej funkcji właściwej: *słowo jest nazwą przedmiotu.* „Grusza" znaczy u Ożoga *naprawdę* gruszę, „kalina" *naprawdę* kalinę. To nie są ani symbole ani literackie rekwizyty tła — to są realne elementy tego wycinka krajobrazu, na którym znajduje się pozycja artyleryjska i biorą one *faktycznie* udział w walce: czy to osłaniając naszych artylerzystów przed pociskami lub obserwacją nieprzyjaciela, czy to ułatwiając im celowanie, czy też widokiem swoim (może to właśnie strony rodzinne owych żołnierzy?) podniecając ich do walki o wyzwolenie ziemi ojczystej.

Ożóg wybrnął poza pojęciową wieloznaczność symbolizmu. Ożóg dotarł do *poetyckiego realizmu*, w którym słowa są nazwami konkretnych przedmiotów. Mowa poetycka Ożoga jest już nie narzędziem sugerowania mętnych aluzji, otwierających w „złudnej" rzeczywistości okienka „ku Absolutu księżycowi" (Maeterlinck), ale jest ona tym, czym być powinna: narzędziem międzyludzkiego kontaktu.

Autentyzm w swojej obecnej fazie, dla której niewątpliwie „Kraj" jest pozycją reprezentatywną, zaczyna się uklasyczniać. Klasycyzacja ta jednak nie polega na rezygnacji ze zdobyczy awangardy. Ożóg w pewnych momentach zdaje się właśnie teraz bliższym czechowiczowskiego „fantazjotwórstwa" niż kiedykolwiek dotąd, np.:

A u strumyka białe schody,
a białych schodów anioł strzegł,
i gronostaje piją wodę,
a gronostaje to jest śnieg.

lub:

Nie wiele mnie: pięć ksiąg i słów —
i tylko tyle mnie zostanie,
ile na cztery sny aniołów,
ile na leśne zmartwychwstanie.

Klasycyzacja autentyzmu zasadza się na dążeniu do jak najwyrazistszego wykrystalizowania wizji centralnej utworu, choćby wizja miała się kształtować poprzez obrazy tak rozwiane i fantastyczne, jak w cytowanych powyżej fragmentach. Za przykładowe mogą tu służyć wiersze tak jak: „U czasokresu", „Kontyngent lasu", „Pachnie kwiat lipy", „Sielanka śnieżna", „Odkupienie kraju widzialnego".

Wyłamanie się z dawnego symbolizmu modernistów pozwoliło Ożogowi na odnalezienie własnej metody poetycznej symbolizacji zjawisk. Charakterystyczny w tym względzie jest wiersz „Do ostatniej krowy". Druga strofka tego utworu brzmi:

Nocą w okolczykowane ucho
długo piała konająca wieś,
na zbójeckim niemieckim łańcuchu
kiedy prowadzili cię na rzeź.

Niedola ludzi i niedola zwierzęcia splatają się tu w jednolity akord, poeta kładzie między tymi faktami znak równania, bo są one wyrazem tego samego zła stwarzanego przez wrogą, brutalną przemoc. Krzywda wyrządzana zwierzęciu ma specyficzny odcień ohydy i na tę właśnie moralną ohydę hitleryzmu pada tu nacisk, choć nie mówi się o niej wprost, unosi się ona po prostu nad tekstem poematu jako złowróżbny cień, jako szatańska inspiracja owego bestialstwa, która we wspólnocie cierpienia jednoczy nawet człowieka i zwierzę. Nie buduje się tu poetyckiego obrazu po to, by za jego pomocą sugerować coś, co obrazem tym objęte nie jest, ale odpowiednim rozmieszczeniem akcentów pojęciowych i emocjonalnych uwielokrotnia się obraz, nadaje mu się nowe bogatsze znaczenie.

Utwory, które złożyły się na „Kraj", dyktowała Ożogowi wojna i stwierdzić należy, że ze swojego pojedynku z nią wyszedł poeta zwycięsko. W porównaniu z obu przedwojennymi zbiorkami nowy tomik Ożoga jest dalszym etapem rozwojowym, jest ujawnieniem nowych możliwości twórczych poety. Również dla autentyzmu książka Ożoga ma znaczenie przełomowe: stanowi ona zdecydowane wyjście poza sielankowość i liryczne krajobrażenie na marginesie życia, oznacza ona zajęcie przez autentyzm wyraźnego i określonego stanowiska poetyckiego także wobec najważniejszych zdarzeń i problemów epoki. Niedarmo nazwiskiem Klemensa Janickiego otwiera swój tom Ożóg: humanizacja autentyzmu, przejście od poezji spraw natury do poezji spraw najgłębiej i najdonioślej ludzkich — oto najpiękniejszy rys nowej książki młodego poety, o którym dziś już śmiało powiedzieć można, że we współczesnej poezji, polskiej zajmuje stanowisko niewątpliwie poważne.

S. LICHAŃSKI.

JÓZEF WYSZOMIRSKI

Teatr Ludowy w Lingen

(jak Leon Schiller zorganizował polską scenę objazdową w anglo-saskiej strefie okupacyjnej)

W pobliżu granicy holenderskiej nad rzeką Ems znajduje się taka sobie mieścina niemiecka — Lingen. Ni brzydka, ni ładna, zlekka poturbowana przez polskie wojska w ostatnich dniach katastrofy brunatnego drapieżcy. Kiedy w połowie czerwca ub. roku Leon Schiller zwołał Walny Zjazd aktorów, znajdujących się na terenie okupacji anglosaskiej, nikt ze ściągających tu kolegów z obozów pracy, jenieckich, czy koncentracyjnych nie zdawał sobie wtedy sprawy, że to miasteczko wejdzie do historii polskiego teatru ludowego. Tu na zasadach organizacyjnych Zawodowego Związku Artystów Scen Polskich powstał teatr, w którego nazwie: „Teatr Ludowy im. Wojciecha Bogusławskiego" dla znającego nieco dzieje sceny polskiej wyraźnie zawarty jest program ideowy. Przymiotnik „ludowy" (spotykaliśmy niestety w takich, których do pasji doprowadzał ten wyraz), określał jasno nasze zadanie: sztuka dramatyczna to nie tylko zagadnienie estetyczne, ale przede wszystkim społeczne, moralno - wychowawcze. Tylko taki teatr miał sens dla mas polskich chłopów i robotników, wywleczonych przemocą z ojczyzny, pędzących ponury żywot na obcej i wrogiej ziemi. Imię zaś Wojciecha Bogusławskiego wskazywało na ciągłość, tradycję idei teatru walczącego, teatru — służby, teatru ludowego. Bogusławski, autor rewolucyjnych „Krakowiaków i Górali" (jakże ciekawszych od popularnego utworu pod tymże tytułem Kamińskiego), na przełomie 18 i 19 wieku walczył o Wolność i Równość wszystkich, wszystkim też obywatelom miała służyć jego scena narodowa. Należy przypomnieć także, że tym imieniem założyciel teatru lingeńskiego, Leon Schiller — nazwał swój teatr w Warszawie w 1924 roku. Teraz ten niestrudzony bojownik owej idei, pierwszy raz po wielu klęskach (idiotyczne napaści zaściankowych pismaków tym razem nie były groźne), mógł pracować wyłącznie dla widowni jednorodnej, rdzenia naszego organizmu narodowego: chłopa, robotnika i żołnierza. Stąd materiał doświadczalny olbrzymi, wystarczający — myślę — do pełnego wykorzystania w sprzyjających warunkach przebudowującego się życia naszego państwa. Ośmielę się twierdzić, że ten krótki etap — półroczny zaledwie — to ostatni krok w urzeczywistnieniu myśli sceny ludowej.

ZAŁOŻENIE TEATRU

Zaczęło się to skromnie. Kierownik polskiej ekipy „Polskiej YMCA" Szczepan Baczyński, aktor, będący zagranicą zgórą 10 lat, dowiedział się, że w obozie jenieckim po klęsce sierpniowej znalazł się Leon Schiller. Postanowił sprowadzić go do Lingen, żeby zorganizować wspólnie „Czołówkę Teatralną". Wtedy Schiller zwołał zjazd, na który przybyli niemal wszyscy aktorzy nieskompromitowani pracą w teatrach działających oficjalnie za czasów okupacji niemieckiej. (Należy podkreślić tu wielką ofiarność Baczyńskiego, który sam przy kierownicy zwiózł kolegów ze wszystkich stron Niemiec). Zadania, jakie zakreślił zjazd przekraczały oczywiście ramy „czołówki". Autorytet i energia Schillera sprawiły, że



Z „Godów weselnych"

powstała instytucja poważna, w skład której weszli pracownicy wszystkich działów: aktorzy, malarze - scenografowie, muzycy, kierownictwo literackie, technicy teatralni, oraz pomocniczy zespół artystyczny — w sumie personel przekraczający 70 osób.

REPERTUAR: „GODY WESELNE"

Po pokonaniu trudności gospodarczych zaczęły się inne. Najdotkliwiej odczuwało się brak egzemplarzy teatralnych, książek, oraz wszelkich środków pomocniczych. Dyrektor na podstawie swych notatek zrekonstruował z pamięci materiał słowny i muzyczny swoich „Godów weselnych" i wyłącznie z pamięci odtworzył kilkadziesiąt piosenek polskich z różnych epok, z czego powstał montaż inscenizacyjny zatytułowany: „Kram z Piosenkami".

Sięgnięcie do tych właśnie materiałów nie było przypadkiem. Teatr służący ludowi powinien korzystać w pierwszym rzędzie z możliwości twórczych ludu. Znaleźć je można w jego pieśni i obrzędzie. O bogatych wartościach polskiej pieśni ludowej mówią wielkie nazwiska naszych muzyków (Szopen, Szymanowski), których utwory przepojone są czarem prostej pieśni chłopskiej. Obrzędy zaś związane z każdą porą roku przybierają najczystsze formy teatru: chłopi - aktorzy, często w odpowiednim przebraniu — kostiumie, odgrywają obrzędową akcję o znaczeniu symbolicznym.

Najbardziej rozbudowanym i — powiedzmy — teatralnie okazałym jest obrzęd weselny. Dlatego na otwarcie naszego teatru postanowiliśmy opracować to widowisko. Zawiera ono wszystkie elementy twórczości chłopskiej: pieśni, tańce, zwyczaje, wszystko okraszone szczerą poezją. Inscenizator ograniczył obrzęd do kilku najważniejszych momentów: zrękowiny, zaprosiny, wieńczyny, rozplety z siadanym, powrót z kościoła wraz z ucztą, czepinami i pokładzinami. Całość poprzedzał krótki obraz nocy świętojańskiej — Sobótka — kiedy to przyszli młodzi zbliżyli się do siebie. Zamknięciem był akt dożynkowy.

Próby odbywały się w trudnych warunkach. Nie mieliśmy swego lokalu. Korzystaliśmy z wolnych godzin różnych świetlic, czy kantyn. Z niecierpliwością oczekiwano premiery, którą musieliśmy ciągle odkładać z powodu braku materiałów na kostiumy, kotar, krawców. Na dalszych próbach odwiedzali nas zaproszeni goście. Pokazywaliśmy im fragmenty, oczywiście bez dekoracji jeszcze i kostiumów. Wzruszenie ich dawało nam otuchę, że możemy być pewni wyników naszej pracy.

PREMIERA W LINGEN

Nadszedł wreszcie uroczysty dla nas dzień. Dziwną wymowę miały barwne, dobrze skomponowane, polskie afisze na murach niemieckiego miasta, zapraszające polską ludność na polskie przedstawienie. 7 sierpnia 1945 r. wystąpiliśmy z gotowym widowiskiem. Entuzjazm z jakim nas wtedy przyjęto był wyrazem naszego zwycięstwa. Towarzyszył nam do końca naszej działalności. Spotykało się coprawda ludzi, którym kością w gardle stawało pewne słowo w zakończeniu „Dożynek":

„prowadzimy plon
w ten gromadzki dom"...

Nie trzeba chyba mówić, które z tych słów było tak drażniące...

Widowisko poprzedzało słowo wstępne, wprowadzające widza w obrzęd, jego sens, objaśniające jego teatralną formę obecną. Doświadczenie utwierdziło nas w przekonaniu o niezbędności takiego wprowadzenia. Widz łatwiej ulega, wciąga się w tę jakąś inną, niecodzienną rzeczywistość, nie jest niepokojony momentami niezrozumiałymi. Słucha zresztą chętnie i uważnie. A kolega, który kończył wstęp słowami: „Wśród powodów, dla których Teatr Ludowy im. Wojciecha Bogusławskiego tym widowiskiem działalność swą rozpoczął, jest jeszcze jeden, może najważniejszy: przypomina ono nam Ojczyznę, łączy nas na chwilę z naszą ziemią, naszym niebem, z braćmi naszymi — z tym wszystkim, do czego chcemy i musimy wrócić!" — był serdecznie oklaskiwany.

OBJAZD PO OŚRODKACH POLSKICH

Po kilku przedstawieniach w Lingen zaczęła się nasza wędrówka po większych ośrodkach polskich na terenie okupacji angielskiej. Haselünne, Neuenhaus, Delmenhorst, Lastrup, Adelheide, Lubeka, Kiel, Cloppenburg, Quakenbrueck, Thuine, Beutheim i dziesiątki innych miejscowości, brzmiących egzotycznie tu u nas, ale nienawistnie dla ludzi skazanych na pobyt tam, w obozach. Dla uwypuklenia sporego wysiłku warto przytoczyć dwie cyfry. Widziało nas przeszło 100 tysięcy widzów. Ażeby dotrzeć do tych widzów, przejechaliśmy samochodami, wożąc z sobą kostiumy, dekoracje, oraz sprzęt elektrotechniczny, około 50 tysięcy km. Wracaliśmy ciągle do miejsca naszego pobytu, gdzie próbowaliśmy następne widowisko.



Scena z „Godów weselnych"

Każde przedstawienie było dla nas nowym przeżyciem. Grałiśmy w różnych warunkach. O budynkach teatralnych trudno mówić: barak z prowizoryczną sceną, najczęściej bez kurtyny (jeszcze raz przekonaliśmy się, że kurtyna nie jest koniecznym elementem sceny), hala fabryczna, czy sala kinowa. Dwa razy tylko występowaliśmy w gmachu teatralnym: raz w Lubece i drugi w Bredzie, w Holandii. Stale nowe warunki utrzymywały w nas nieustanną czujność, naprężenie i świeżość, sprawiały, że każde przedstawienie, nawet 50-te, było dla nas premierą. Najistotniejszym powodem jednak było niesłychanie gorące przyjmowanie nas przez ludzi prostych, będących w większości w teatrze po raz pierwszy w życiu. Po przedstawieniu, przy otwartej kurtynie, przemawiał zwykle przedstawiciel Ośrodka. Dziękował nam z tak szczerą serdecznością, popierany tak żywiołowym uznaniem sali, że trudno nam było odpowiedzieć, głos wiązł w krtani, można było tylko uścisnąć rękę, pocałować się. I to nas trzymało. Takiej widowni nie wolno dać złego przedstawienia, źle, czy niedbale grać. I rzecz najistotniejsza: ta widownia budziła krzepiącą świadomość, że lud, z którego piękno widowiska wyrosło, ciągle jest zdrowy, nosi w sobie głębokie siły twórcze, czego wyraźnym dowodem niesłychana wrażliwość odbiorcza. A że był to teatr spełniający wysokie wymagania i natury estetycznej, nie przykrawany, czy spłycany na użytek „maluczkich", świadczy ogólne uznanie ludzi o wypróbowanym smaku i kulturze.



Aktorzy trupy polskiej w Lingen

⁂

W następnych numerach „Wsi", zamieścimy opis innych widowisk, zorganizowanych przez Teatr Ludowy w Lingen: „Kram z Piosenkami", i Teatr kukiełkowy dla dzieci.

JAN ALEKSANDER KRÓL

Stara wieś *)

(Pierwsza część pracy p. t. „Drogi wiciowe")

JÓZEFOWI NIEĆCE

Motto:
„Praca nasza i dążenie oprze się na wyrobionym elemencie wiejskim mojego wieku, a zrealizowana będzie przez element, który się rodzi. Starzy już roli żadnej w życiu nie odegrają".

„Młode Pokolenie Chłopów" — J. Chałasiński — Życiorys Nr 1501/25 ur. w 1913 roku.

W żadnym środowisku polskim nie zarysował się współcześnie tak wyraźny podział na *stare i młode pokolenie*, jak w warstwie chłopskiej. Proces ten rozwija się już od przeszło 30 lat i nie zanosi się na to, aby miał się zakończyć na generacji, która go wywołała. Termin „młode pokolenie" oznacza tu bowiem rozszerzenie utrwalonej wiekami i niezmiennej dotąd funkcji chłopa-rolnika o nową rolę społeczną a pozostającą w sprzeczności z tradycją.

Ponieważ nowy wzór zyskał już prawo obywatelstwa, współistnienie ich w przyszłości podtrzyma z niemniejszą wyrazistością dokonany podział pokoleniowy.

Odpowiedzieć—jak powstał i na czym ów podział polega — jest zadaniem tego szkicu.

TWÓRCZOŚĆ CZY PRACA?

W *„Pamiętnikach Chłopów"* autor pierwszej pracy taki kreśli obraz czasów swego dzieciństwa:

„Ludzie mniej w polu robili, bo drewnianym pługiem spepłali tylko, to też u niejednego bida się pchała oknami i drzwiami. Ale ludzie jakoś nie narzykali. Każdy wiedzioł, że tak być musi. Podatki były małe. Ludzie się nie martwili wiele. Tyle wiedzieli, że w sobotę do karczmy iść trzeba choćby i kaszy zanieść. O dzieci się nie martwili, bo ziemie mieli i dzieci gdzie posadzić, a tyle wiedzieli, że chłop chłopem zawsze będzie".

Oto mamy zgrubsza zarysowany wzór „starego" chłopa z lat, w których Reymont pisał „Chłopów". W powieści siejący Boryna zapładnia symbolicznie jakby całą Ziemię. W tym wspaniałym obrazie artysta zahypnotyzował nas wrażeniem, że ten Siewca postępuje w majestacie twórcy. Tymczasem rzeczywisty Boryna (trzy pokolenia wstecz) miał wprawdzie po pańszczyźnie dużo ziemi, ale ją tylko „pepłał" i dlatego do niejednego z Borynów „bida pchała się oknami". Gdzie tu tedy twórcza postawa?

Warto byłoby raz nareszcie skończyć z mitem o typowym jakoby dla chłopa twórczym z przyrodą obcowaniu. Naiwni działacze ludowi mieszają notorycznie pojęcie *„twórczość"* z *„bogatym garniturem zakresów pracy rolnika"*. A to są różne sprawy. Praca chłopa daje mu dużą zmienność wrażeń, zezwala na dowolną kolejność poszczególnych robót. Ale mimo to pozostaje ona nadal *tylko pracą*. Dlaczego? Wróćmy do obrazu z „Pamiętników".

„Każdy wiedział, że tak być musi"... „chłop chłopem zawsze będzie". Mamy tu do czynienia z ustalonym wzorem obyczajowym „bidy", na którą się „jakoś nie narzyka".

Bardzo ograniczony zakres potrzeb życiowych to społeczny wzór tradycjonalny. „Wystarczy dwa razy na dzień brzuch rozpychać", jak mawiała babka autora innego Pamiętnika. — „Mużyckiemu dziecku wstyd jeść tak często jak świni". I dlatego obcuje się z przyrodą nie „twórczo", ale konwencjonalnie w granicach ustalonego obyczaju, chociażby on „bide pchał oknami i drzwiami" i chociażby ją można było zażegnać.

Twórczość, którąby miała rozkwitnąć w kręgu „ludzi pracy", wymaga dwóch warunków.

1. Albo działalności przekraczającej granice „własnych życiowych potrzeb".

2. Albo sam przedmiot i zakres pracy zainteresuje wykonywującego w tym stopniu, że od rutynicznego powtarzania czynności i produkowania niezmienionych wytworów przejdzie do inowacji w metodach i rezultatach.

Pierwszy warunek, jak pokazaliśmy — jest nie do spełnienia w tradycyjnym wzorze chłopa. A drugi? Posłuchajmy Słomki: — „gdzie zaś pierwsza klasa, tam siali pszenicę, jęczmień, owies, koniczynę, bob i sadzili ziemniaki i kapustę. Tę naukę ojcowie wpajali w synów i wnuków, aby tylko tak siać i sadzić, bo inaczej urodzaj chybi. Każdy też tej nauki się trzymał, aby nie chybił i nie był wyśmiany".

Oto odpowiedź mitomanom — nie twórczość a zestandaryzowana produkcja!

TRADYCYJNY AWANS SPOŁECZNY

Nie otwierając perspektyw ani na twórczość, ani na „wygodniejsze życie" cóż tedy dawał chłopu tradycyjny wzór osobowy jego klasy? Dawał mu awans społeczny.

Na szczycie hierarchii gromadzkiej stało samodzielne gospodarstwo. Z końcem wieku XIX przy mniejszej liczbie ludności wiejskiej z dużych popańszczyźnianych gruntów było jeszcze czym obdzielić potomstwo. „O dzieci się nie martwili, bo ziemie mieli i dzieci gdzie posadzić".

Młody przeszedłszy od dziecka długą drabinę prac nakazanych a coraz to trudniejszych dochodził wreszcie do roli gospodarza, tj. tego, który mógł odtąd nakazywać prace rodzinie i służbie. On sam zaś wolny był już od nakazów z góry („podatki były małe"), a tylko uzależniony regułami technicznymi i obyczajowymi od całej gromady „równościowców".

Ów awans społeczny o zacieśnionej skali wymagał spełnienia dwóch warunków: istnienia dostatecznej ilości gospodarstw oraz wykluczenia na wsi innych wzorów osobowych, gdyż te odsłaniając społeczną marność tradycyjnego życia, zniszczyłyby dotychczasowe naiwne zadowolenie z siebie.

Pierwszy warunek w latach — o których jest mowa — był już zachwiany.

Nie wszyscy dziedziczyli i dziedzictwa nie były równe. Stąd posiadanie gruntu i wielkość gruntu określały stopień wywyższenia społecznego.

Odgrzebujemy tu drugi mit o miłości chłopa do ziemi, o jego zamiłowaniu do pracy i oszczędności. Ani do pracy, ani do oszczędności, a tylko przez jedną i drugą do *znaczenia społecznego*. Na poziomie zdawna obyczajowo ustalonym miarę tego znaczenia określała nie wiedza, nie talent artystyczny, nie wyższa stopa życiowa — a rozmiar gospodarki. Dlatego to chłop konserwatysta trzyma się tak ziemi!

ZASADA „PODPORZĄDKOWANIA"

Tradycyjny awans społeczny zapewniony był dla dzieci gospodarzy, natomiast zamknięty dla „bandosów", najmitów, komornic folwarcznych i małorolnych. Ale i w pierwszej grupie droga do tytułu „gospodarza" prowadzi przez ten sam układ stosunków społecznych, jaki cechuje obie grupy, jako kręgi ludzi pracy. Przez przyjmowanie *zgóry wyznaczonego stanowiska i wypełnianie rozkazów*. Miłkowski w „Agraryzmie" pisze, że „pracę wykonuje każdy pod naturalnie uznanym przodownictwem kogoś z ojców czy rodzeństwa". Ale dla najmity rozkaz gospodarza również jest naturalny, jak rozkaz ekonoma dla służby folwarcznej. Familijność nie zmienia tu struktury „podporządkowania" i „nadporządkowania". I w gospodarstwie rodzinnym istnieje ustalona hierarchia stanowisk. Pasienie gęsi i krów oto przykład najniższego ze wszystkich. Idą po nich wyższe: obrządzanie bydła, młocka, kośba, orka, siew. Życie gospodarstwa opiera się o ustalony schemat robót. Młody musi się doń nagiąć i przystosować w stopniu, który nie zostawia mu żadnej inicjatywy.

„System — jak mówi prof. Znaniecki — czeka nań gotowy, jego sprawą jest zajęcie w nim wyznaczonego podrzędnego miejsca".

To też, kiedy Miłkowski w „Agraryzmie" pisze, że „komunizm przekształca człowieka w bierne narzędzie wykonujące wszystko według odgórnego rozkazu", gra tu na trzecim micie o chłopie "wolnościowcu". Tymczasem prawdą jest, że grubo przed Marksem, od wielu stuleci, aż po ostatnie czasy warstwa chłopska zamknięta była w jednym wzorze: *człowieka pracy*, którego rolą społeczną jest właśnie „wykonywać według odgórnego rozkazu". I nie w tym tkwiłaby różnica pomiędzy „ludowym" a „komunistycznym" ustrojem. I jeden i drugi nie mogą się obejść bez ludzi pracy. Tylko, że chłopska struktura organizacji pracy najbogatsza i najbardziej skomplikowana przed tysiącleciami, dziś w schemacie „gospodarstwa" wyraża najuboższy wzór w rzędzie współczesnych przedsiębiorstw i instytucyj. Dlatego i awans społeczny z nią związany, kiedyś zadowalający, dziś proporcjonalnie stracił na znaczeniu.

Jest i druga różnica. Wielki przemysł, wielkie instytucje opierają się o ekipy twórców-wynalazców, uczonych, organizatorów, którzy wpływają na postęp w samym procesie produkcyjnym, przez zmiany w metodach i narzędziach pracy, udoskonalenie towaru, wprowadzanie nowych towarów.

Tymczasem w tradycyjnym wzorze organizacji i techniki pracy rolnika nawet „gospodarz", który zajmuje szczytowe stanowisko w hierarchii gromadzkiej, nie wykracza poza krąg ludzi pracy. Jest stróżem ustalonego wzoru. Sam podporządkowuje się gotowemu systemowi i na tym polega jego osobista podrzędność, wszystkim innym zleca zadania, których nie wymyślił i które nie są inowacjami.

EMIGRACJA — PIERWOTNY BUNT

W odpowiedziach „Młodego Pokolenia Chłopów" czytamy: „Jak kilka razy usłyszałem od rodziców i sąsiadów, że Bolek to już chłop, bo umie już kosić, młócić, orać. To tak jakbym zdał jakiś ważny egzamin. Jest to przynajmniej równające się maturze".

U zasobnych chłopów i dziś jeszcze ten zawodowy egzamin nie traci na atrakcji. Ma zapewnione zastosowanie w oczekującym młodego awansie na gospodarza.

Inaczej jest z tymi, którzy wyszli „z kurnej chaty i dwu morgów". „Jeśli chodzi osobiście o mnie choćbym wymagał wiele od losu — pisze jeden z nich — to wiem, że nie dostanę".

W obliczu jednego wzoru awansu, który dla tych z kurnych chat i komorniczych izb był nie osiągalny, techniczna umiejętność stawała się źródłem nie radości a społecznego upokorzenia.

Jeden rodzaj pracy nie dawał społecznie zdegradowanym na wsi nawet satysfakcji trafienia na odpowiedniejsze dla ich uzdolnień i zamiłowań zajęcia. Jeden jedyny wzór osobowy dusił pod ciężką pokrywą tradycji wielostronne potencjalne możliwości, jakich w rezerwuarze milionowych mas można spewnością oczekiwać.

Dlatego w wielkiej emigracji do miast i za ocean, jaka zaczęła się w drugiej połowie 19-go wieku nie należy upatrywać przede wszystkim chęci materialnego poprawienia sobie losu. Wychodzący byli ludźmi obciążonymi wszystkimi skutkami wychowawczego kręgu pracy. Nie reprezentowali typu zdobywców. Większości szło poprostu o *zmianę* rodzaju zależności pracowniczej. Wychodzili aby się *uwolnić* od tego kręgu pracy, w jakim beznadziejnie wzrośli. Jeżeli czego szukali to najpewniej *innej* pracy wśród oczekujących wielu rozmaitych rodzajów prac. W bogatszym układzie społecznym miast wielość zawodów zaciera znamię niższości „człowieka pracy" i daje nadzieję na *wybór* zajęcia.

W tych pierwszych ucieczkach ze wsi widzieć za tym należy i *pierwszą formę buntu* przeciw tradycyjnemu wzorowi - chłopa-rolnika. Objął on krąg nie tylko bezrolnych, ale wdarł się również w rodziny gospodarzy, doliczyć tu trzeba drugich, trzecich i czwartych skolei synów.

PIERWSZY PUNKT WYJŚCIA: KAWALERKA

Bunt wyrażony w emigrowaniu ze wsi — w pierwszej przynajmniej fazie pozostał bez skutku. Przeciwnie, stworzył nawet klapę bezpieczeństwa dla starego porządku. Odejście ściszało niezadowolenie pozostałych. Stary porządek miał tradycyjne ujście dla trudnego w systemie wychowawczym młodzieńczego wieku. Były nim przywileje „kawalerki". Naturalny pęd dzieci i młodzieży do zabawy poczynał wcześnie drążyć sobie zakazane ścieżki.

„Gdy zacząłem bydło wyganiać na pastwisko gminne, to wtenczas się wesołości dało folgę i czułem się bardzo szczęśliwy poza surowym okiem dziadka, wtenczas się dopiero znalazło kolegów, z którymi się wyprawiało różne hece". (M. P. Ch.).

A kiedy młody został „parobkiem całą gębą" — „od tego czasu zacząłem prowadzić kawalerkę, zacząłem po wieczorkach grywać z chłopakami w karty, z bandą chodzić na wesela — a jak nie, to zebrało się nas kilku i przewracaliśmy ludziom płoty, ustępy itd", albo jak pisze inny „z góry mieliśmy uplanowane naprzykład: wójtowi wszystkie cebry, sanie, drabiny puścili z wodą, wiatrak jednemu gospodarzowi przewrócić i stulać do doliny, wóz wynieśliśmy na dach... Później już każdy wystarał się o jakąś starą flintę i zaczęliśmy uprawiać kłusownictwo, nie cofając się przed żadnym niebezpieczeństwem, a jeżeli ktoś stanął nam na drodze, groziliśmy mu zastrzeleniem. Dwóch kolegów napadło raz przechodnia z nożami w ręku i obrabowali go z pieniędzy".

Albo jak opisuje jeszcze inny: „Wieczorem zbierała się młodzież męska, najczęściej na środku wsi. Jeden z chłopaków właził na jakie rosochate wierzbe, zaczyna krzyczeć na całe gardło, która z dziewcząt była lubiana to chłopaki w czasie takiej przywoławki wychwalali jej cnote i zalety, a która nie cieszyła się szacunkiem to zostały niejako publicznie wypowiedziane jej wady i dostał się jej najgorszy niedojda albo pijaczyna czy jaki półgłówek. Taka niewinna zabawa..."

Wymienione przykłady ilustrują zakres zabaw młodzieży wiejskiej pozostającej w roli „parobków". Oczywiście wiele z nich ma charakter niszczycielski i zatrważający. Ale i niebezpieczeństwo tych zabaw jest rezultatem porządku społecznego, do jakiego w pierwszym rzędzie należy ta młodzież. A należy ona — przypominamy — do kręgu ludzi pracy bez perspektyw na twórczą działalność, ze z góry czekającym ją niskim awansem lub z góry bez szans na awans i bez bogatego zakresu pozytywnych zawodów. W tych warunkach aktualna pozycja młodych parobków, wyrażająca się w *podrzędności społecznej*, pcha ich do wyrównania jej strat przez uzyskanie znaczenia i zapomnienia o losie chociażby chwilowo i przelotnie w zabawowym kręgu rówieśników.

Właśnie w tradycyjnym porządku wsi zasada przemijalności okresu zabawy w życiu każdego pokolenia stanowiła o uprawnieniu do jego zażywania. „Kawalerka" w idealnym programie wychowawczym miała być pewną formą towarzyskiego wkupienia się w krąg dorosłych po „wypromowaniu na parobka". Miała dać przedsmak zaszczytu i honoru kandydatowi na „gospodarza". Tolerowano swawolę o tyle o ile w niej wyrażała się dodatkowo świadomość znaczenia pozycji parobka, tzn. już *jakby* gospodarza. I zabawy młodych miały więc za zadanie wiązać ich i włączać ściślej w generalny wzór osobowy chłopa.

Ale w stosunku do tak ustalonej społecznej funkcji zabawy, wystąpiły siły oporu — wewnętrzne i zewnętrzne.

Z zewnętrznych należy w pierwszym rzędzie wymienić nadmierny przyrost ludności wiejskiej. Tradycyjny awans staje się nieosiągalny dla *milionów* chłopów. Podrzędność — wobec braku ujścia energii życiowej w innych rolach społecznych — potęguje znaczenie kręgu zabawowego. Podobny wpływ wywierają przenikające na wieś echa różnorodnych form życia miejskiego. Za słabe przed laty, aby wprowadzić wzory nowych ról społecznych, ale dostatecznie sugestywne, aby zmącić obraz dotychczasowej sielanki („ludzie się nie martwili wiele"), aby nie przeciwstawiając jeszcze nic pozytywnego podważyć jednak autorytet tradycyjnego porządku.

Podane przykłady zabaw „parobczańskich" ilustrują rozwój wewnętrznych sił odśrodkowych. Zawierają one ni mniej ni więcej tylko pełny układ trzech podgrup kręgu ludzi zabawy. Trzymając się terminologii Fl. Znanieckiego można w tych przykładach wyliczyć kolejno — grupę pierwszą: *organizatorów - polityków* — tj. tych, którzy organizują młodzież, układają plany akcji zbiorowych, przyczem podejmują się tych zadań w wyraźnej intencji *zapanowania* (chociażby chwilowo) nad gromadą. Czynią to raz kryjomo jak w ośmieszaniu powagi wójta, lub jawnie, jak w przeciwstawianiu się polityce kojarzenia małżeństw według kryteriów wianowych.

Można wskazać drugą grupę — *towarzyskiej zabawy*, która wyraża się w większym czy mniejszym stopniu w *zalotach* (na weselach, tańcówkach, przywołankach, pijatykach). Spotykamy tu próby produkcji artystycznej (śpiew, dowcip, tańce), których funkcja społeczna polega na zaprezentowaniu się młodego w zabawie.

Trzecią wreszcie stanowi — *grupa bojowa — banda*, która wyżywa się w walce — od bijatyki do rozboju z nożem i flintą.

Pomniejszanie się uroku tradycyjnego awansu i wzoru osobowego człowieka pracy

---

*) W pracy tej opieram się na klasyfikacji prof. Znanieckiego, korzystając z jego charakterystyki kręgów ludzi pracy i ludzi zabawy, zawartej w książce „Ludzie teraźniejsi a cywilizacja przyszłości".

podnosiło siłą rzeczy urok wzorów zabawowych. Sprzyjało ich różniczkowaniu się, specjalizowaniu i wzmaganiu doniosłości społecznej przebiegów i skutków tych zabaw.

Ojciec jednego z autorów wypowiedzi „Młodego Pokolenia Chłopów" wskazuje jak daleko postąpił ów proces *dzikiej* emancypacji młodzieży „co, my to i starych sanowoli we wsi, radnego czy wójta mieliśmy w powadze, a dziś z każdym by sie wodzili, każdego mają za nic nawet księdza pod kosciołem wnet by sie bić hycili".

Oto jest jeden z punktów wyjścia do wyodrębnienia się w nowej roli społecznej tzw. „młodego pokolenia chłopów". W dialektyce takiego rozwoju chcemy podkreślić, że to właśnie *przedłużanie* się starego porządku wzmocniło i zaostrzyło jedną z jego wewnętrznych przeciwnych sił aż do...

•

DRUGI PUNKT WYJŚCIA: SZKOŁY ROLNICZE

Z kręgu ludzi pracy — jak już mówiliśmy — wyjść można dwoma drogami. Młodzieżowy krąg zabawy stanowi w historii wsi wyjście poza granice „tradycyjnych potrzeb życiowych".

Drugie przekroczenie wyrazić się mogło w zainteresowaniu treścią pracy rolniczej głębszym niż to obowiązywało chłopa zgodnie z ustalonym obyczajem.

Pojedyńcze objawy tych wykroczeń obserwujemy już w końcu XIX wieku. Z dawnych pisarzy ludowych nowości wprowadza Słomka, Kuraś, Sawczuk, chłopi wyjątkowi, najbardziej oświeceni.

Ale kiedy stary Magryś mówi w r. 1898 „Panie pośle jest już we wsi zmiana na lepsze, mamy kółko rolnicze, gdzie my chłopi możemy nauczyć się wiele" — jest to początek akcji o szerszej już doniosłości społecznej. W roku 1901 działać zaczyna pierwsza Szkoła Rolnicza w Pszczelinie, w 1905 roku druga żeńska w Kruszynku, w tym samym mniejwięcej czasie powstaje w Tłuszczu, w pow. radzymińskim ośrodek „Siewby" i „Kółek Staszicowskich".

Jak bardzo ta nowa rola odbiegała od tradycyjnych wzorów członka rodziny, pastucha, parobka, czy sąsiada niech świadczy wypowiedź wychowanków „Kruszynka" i innych postępowych Szkół Rolniczych, wyrażona na szpaltach wydawanego przez nich pisemka.

„Nam z ambon i konfesjonałów zakazano wyjazdu: za nami leciały rakiety kłamstw i oszczerstw na nas i na szkoły". („Młodzi Idą" — 1912).

W szkołach rolniczych czekała młodzież *nowa wiedza*. Sprzeczna z nauką, którą „ojcowie wpajali w synów i wnuków". A „każdy się tej nauki trzymał aby nie chybił i nie był wyśmiany". Zwycięstwo młodych mogło iść w parze tylko z odpowiednio doniosłym praktycznie opanowaniem tej nowej, wyższej wiedzy. Otwierała się oto perspektywa na twórcze wyżycie się w roli rolnika, na podniesienie osobistego znaczenia społecznego, a przez zwiększenie wydajności produkcyjnej podniesienie w opinii wiejskiej wartości małego gospodarstwa.

Ale temu oknu na świat wypadło spełnić podobną rolę jaką humanizm spełnił w okresie „Odrodzenia". Przełamane mroki średniowiecza rozpaliły gorączkę poznania ówczesnej elity we *wszystkich* kierunkach równocześnie. Wzorem człowieka tych czasów staje się osobowość *uniwersalna*. Leonardo Da Vinci jest malarzem, poetą, budowniczym, fizykiem, filozofem. Ten wysoko gatunkowy dyletantyzm u Da Vinci' wyraził się w szerszych kręgach społecznych najprawdopodobniej nisko gatunkowym dyletantyzmem.

Od roku 1905 na wieś idzie huraganowy ogień agitacji politycznej (powstają: „Związek Chłopski", „Narodowy Z. Ch.:;, „Drużyny strzeleckie", „Bartoszowe", „POW").

Ten ferment polityczny udziela się i Szkołom Rolniczym, wchodzą w bliższy kontakt z „Zaraniem" i „Zorzą". Jadwiga Dziubińska założycielka „Pszczelina" od początku nakłada na siebie dwa zadania: fachowego szkolenia rolniczego i — jak mówi Niećko — „rozrastania dusz i serc młodzieży chłopskiej".

Kształciła się w Danii, Belgii, Czechach, mówiła jasno i mądrze, „że każdego przykuwała do toku swych myśli". Mówiła „rzeczy dla słuchaczów przykre, ale prawdziwe". Była autorką i realizatorką pomysłu „konkursów rolnych" — słowem, dość tu pozytywistycznej trzeźwości i rzeczowości, ale pamiętać trzeba, że ta młodzież wyszła właśnie z dojrzałych na swój sposób kręgów zabawowych i tu, w szkołach przedłuża tendencje tam zapoczątkowane. Związek Ziemian ożywia wtedy swą działalność na wsi. Jego szkoły zalecają się „przeładowaniem receptami fachowo - rolniczymi" w ocenie młodych. Młodzi chcą na szkolnym gruncie uzyskać to, czego we wsi nie mogli — *pełnej niezależności* dla swego kręgu. Odrzucając patronackie zakusy ziemian — oto pytanie — czy nie odrzucili już wówczas częściowo conajmniej i zalet tamtych szkół — „fachowości". „Pszczelin" Dziubińskiej oparty został na „potrzebie form pracy wynikającej z *prawa wieku młodości* — ogłoszonego przez Grundtwiga". Trudno mi odpowiedzieć w jakiej sytuacji społecznej wypadało działać Grundtwigowi na duńskiej wsi. Ale nasza polska sytuacja polegała wówczas na *wzmocnieniu* pozycji młodzieżowych kręgów zabawowych. Z niej odbył się start do szkoły rolniczej.

W tej sympatycznej gorączce młodych Kruszynienek i Sokołowiaków widać, że idzie im najwięcej „o inicjatywę, samodzielność w myśleniu i śmiałość w działaniu". Ów nerw grupy organizatorów - polityków z kręgu zabawy wydaje się w cień usuwać główny sens ich pobytu w „*Szkołach Rolniczych*", a przecież wcale w swym zakresie nie skromny.

Można zaobserwować dwie fale na przestrzeni tych pierwszych dziesięciu lat życia Szkół Rolniczych. Pierwsza wyraża się w koncentracji intelektualnej, ale właśnie... poza rolniczej. „Ograniczali się ówcześni młodzi do pracy umysłowej — *teoretycznej*, co zakrawało na metodę akademickiego rozwiązywania zagadnień".

„Pożyteczna dla nich i dla szerszych rzesz młodzieży myślowo niżej stojącej o ile w parze z tym idą formy pracy gromadzkiej".

Wchodzi tu już w program myśl o organizacji kół — ale przy założeniach: 1) istnienia ośrodków *koncepcyjnych — teoretyzujących*, 2) i wprowadzenia w te trudniejsze kategorie i treści myślenia młodzieży z terenu.

W drugiej fali obserwujemy odejście i od tego pierwszego odchylenia. „To szerszemu ogółowi młodzieży nie wystarczało. Potrzebny był nowy wyraz oblicza duchowego młodzieży — potrzebne były nowe formy pracy i wzajemnego *współżycia* i *samowychowania* się w *gromadzie*".

Niczego jeszcze nie przesądzając zwracamy uwagę, że rok 1912, a więc rok, od którego Związek Młodzieży Wiejskiej liczy swój początek — charakteryzuje taka sytuacja:

po 1) W Szkołach Rolniczych ich specyficzna problematyka nie przedstawia dla wychowanków największego interesu. Nie górują ambicje naukowo - rolnicze. Leibig i Mendel nie wprowadzają w szerszy świat wiedzy przyrodniczej a z niej w perspektywy cywilizacji technicznej,

po 2) Okres samorodnego rozbudowywania orientacji w zagadnieniach kultury szybko przemija, wcześniej nim doszedł do stworzenia teoretycznych podstaw, dostatecznie szerokich i pewnych, aby odpowiedzialnie można było na nich budować „rozrastanie dusz i serc młodzieży chłopskiej",

po 3) W parciu od dołu a i od gór dyletancko-rozfilozofowanych daje się wyczuć tendencja do masowego organizowania kół młodzieży na zasadach (w konsekwencji braków w punkcie 1) i 2) naturalnego kształtowania się nowych form z samorzutnych dążeń młodzieży w terenie,

po 4) Z poza tego gorączkowo oczekiwanego „nowego wyrazu oblicza duchowego młodzieży" wychylają się dość wzmocnione pozycje gotowych form młodzieżowego kręgu zabawy z jego *zabawową postawą* do pracy i świata kultury. (c. d. n.)

Jan Aleksander Król

Dyskusja: kto jest chłopem?

Inteligencja chłopska

Zamieszczamy poniżej dwa listy naszych czytelników, dających obraz dwóch różnych kolei życia, w odmiennym stosunku i na innych poziomach stawiających wobec wsi ich autorów.

Bohaterem pierwszej autobiografii jest student polonistyki we Wrocławiu. Chłop z dziadków, z wsią zżył się podczas lat okupacji. Charakterystyczne jest to, że wykształcenie nie wywołało u niego urazu do pracy fizycznej, trudów i prymitywu życia chłopskiego. Jest zwolennikiem postępu technicznego a równocześnie pełen wrażliwości estetycznej dla uroków natury wiejskiej.

Jak widać, te dwie postawy nie wykluczają się — a kto wie, czy pierwsza nie wzmacnia drugiej.

Bohaterem drugiej autobiografii jest działacz społeczny, samouk; od nędznej ojcowizny przerzuca się na kowalstwo, dróżnictwo, zakłada wreszcie sklepik. Kształcą go i wydobywają z niego ukryte możliwości nowe sytuacje i nowe zadania społeczne.

Osobliwością w tym życiorysie jest nadmiar inteligencji autora a zarazem jej niedobór. Nadmiar w stosunku do pozycji, którą zajmuje jako działacz w powiecie. Niedobór, kiedy by szło np. w pracy literackiej o osiągnięcia wyznaczone nie miejscowym zamówieniem, ale obiektywnymi wymogami samej poezji. W drugim wypadku autor wykazuje niefrasobliwość i bezpretensjonalność. Rola społeczna decyduje u niego o stopniu i charakterze wysiłku literackiego. Że w jego otoczeniu znawstwo poezji jest słabo wyrobione i nie tyle bywa ważny wiersz sam przez się, ale z okazji wesela czy poświęcenia sztandaru, więc też i świadomość artystycznych zadań nie wyodrębnia się u niego i p o w y ż e j nie rozwija.

POWRÓT DO WSI

Bezpośrednio ze wsi nie pochodzę. Urodziłem się bowiem i wychowałem w mieście. Ze wsi pochodzi jednakże moja matka, która jest córką gospodarza z Bogumiłowic koło Tarnowa, wsi - sąsiadki Wierzchosławic. Ojciec mój, z zawodu cukiernik i restaurator, też pochodzi ze wsi spod Złoczowa. Dziadek ze strony ojca był ubogim ogrodnikiem we dworze. Obaj dziadkowie wlali mi więc chłopską krew w żyły. Wsi do roku 1939 nie znałem. Matka moja posiadała jednak w Bogumiłowicach gospodarstwo i tam po ucieczce z Żywca, który został przyłączony do Rzeszy, osiedliśmy. Tam i w okolicznych wsiach przeżyłem sześć lat wojny. Zapoznałem się z twardą pracą i upartą chłopską naturą. Sądzę, iż dziś mogę powiedzieć, że wieś znam. Nie poznawałem jej bowiem jak przyjeżdżający na lato wycieczkowicz, ale w ciężkim, częstokroć strugami potu spływającym mi z czoła trudzie. Nie przyzwyczajony przed wojną do ciężkiej, fizycznej pracy, musiałem się wziąć za cepy, kosę i widły. Nie żałuję jednak wcale tego znoju, który nieraz dotkliwie czułem w każdym mięśniu.

Przez pracę—dojrzałem trud człowieka wsi. Poznałem z bliska, co to ludzie cierpiący, głodni i wykorzystywani. Moja postawa wobec życia stała się poważniejsza. Przez te lata związała mnie ze wsią nabyta tam dojrzałość życiowa.

Pomimo, że obchodzi mnie bardzo pozycja polityczna i społeczna chłopa, i w rozmowach z chłopem nie pozwoliłbym sobie na sentymentalne podziwy „wsi spokojnej, wsi wesołej" — to osobiście, kiedy znajdę się sam na sam ze wsią jako zbiorowiskiem pól, domów i ludzi, odczuwam ją jako źródło specyficznego nastroju, specjalnej, tchnącej naturą atmosfery. Jest mi ona czasem tak potrzebna, jak atmosfera kulturalna, jak dyskusje literackie z kolegami. Obstawiona lipami droga, wystające zza płotów strzechy, długi, płytki staw, popstrzony kąpiącymi się kaczkami, wesołe nawoływania dziewcząt o muskularnych nogach, skrzypiąca fura tocząca się środkiem drogi, rozwarte wierzeje stodół i dolatujące stukanie cepów... ten cały krajobraz wsi jest mi drogi i cenny, wzruszam się nim, potrafię wpatrywać się w niego godzinami i przeżywać. Ma się rozumieć jest to patrzenie na wieś przez pryzmat estetycznie wyszkolonego na malarstwie, literaturze i wiedzy gimnazjalnej odczucia. U chłopaka ze wsi w moim wieku uważałbym to za niepokojące, bo u niego marzycielski sentymentalizm nie wyodrębniając się z innych podstaw, nie pozwoliłby mu prowadzić wsi na nowe drogi—ku żarówce i chodnikowi. Kontynuowałby tradycje swego dziadka o opłotkowych horyzontach, tym bardziej cennych, że oglądanych nadto oczyma artysty. Na owo roztliwianie się nad uciekającym pięknem wsi „archaicznej" pozwalam sobie wobec tych którzy patrzą na nie jak esteci, jak synowie wsi, ale i jak historycy; w rozmowach z młodzieżą byłem zawsze rzecznikiem postępu technicznego. Na odjezdnym z Bogumiłowic, żegnając się z pewnym chłopem - działaczem, nie płakałem za ginącym urokiem wsi zacofanej, ale wyraziłem życzenie, abym za powrotem mógł już ujrzeć wreszcie chodnik, który by pokrył to metrowe błoto, jakie z wielkim samozaparciem przez sześć lat wojny miesiłem.

Leszczyński Władysław
Wrocław.

WYCHODZENIE ZE WSI

Urodziłem się na wsi z matki cichej i pokornego serca oraz z ojca najdziwaczniejszego człowieka pod chłopskim słońcem: samouk w czytaniu i pisaniu, samouk w grze na skrzypcach, samouk w setce innych, przeróżnych fachów — wiecznie milczący i zadumany, gdy wpadł w pasję, rozganiał całe wesela ławą a w domu nabijał grzbiety całej naszej gromadzie z matką na czele. Czytał dużo. Z autorów nie znosił Sienkiewicza za ujemne opisanie w „Ogniem i mieczem" buntu „czerni", czyli jak mówił ojciec — chłopów.

Od lat najmłodszych kochałem książki (dostarczała mi ich miejscowa nauczycielka) i one były moją *akademią*. Pasąc krowy przez trzy lata w ojcowym zagłębocu czytałem ciągle, co mi w rękę wpadło od „*Dekamerona*" do „*Filozofii i sztuki*" Teinea i dzieł Foerstera. W tym czasie ojciec umarł. Po odbyciu krówskiej służby uczyłem się na kowala; kowalem jednak nie zostałem. Po dwóch zimach nauki rzuciłem kowadło i poszedłem jako dróżnik *pracować na drodze, zarabiałem czterdzieści pięć złotych na miesiąc* — mało to było więc przerzuciłem się na handel, zakładając we wsi mały sklepik. Wtedy Pan Bóg chcąc mnie ukarać, dał mi za towarzyszkę życia żonę.

Przemiła ta kobietka udowodniła mi wkrótce, że jestem skończonym capem, idiotą, kretynem i w ogóle bydlakiem. Nie narzekam jednak, gdyż ma ona jedną wielką zaletę, że jest praktyczną żoną; myśli o ziemniakach i o majtkach dla dzieci, kiedy ja o gwiazdach i o marzycielskim instynkcie psów wyjących do księżyca — i tak się wzajemnie uzupełniamy. Ale do rzeczy. Jak na złość dał mi Bóg wrażliwą naturę i wyposażył w miłość do wszystkiego, co wzniosłe, piękne i... drogie.

Kocham więc — muzykę, śpiew, książki, podróże i marzenia. Z tego wszystkiego mogę sobie tylko marzyć, a to stanowczo nie wystarcza. Nie myślę jednak, żeby kiedykolwiek mogło być inaczej i mam przemiłą nadzieję, że tak już skończę.

Mam już 35 lat, czworo dzieci tysiąc trosk, milion wydatków i dochody, których nawet przez lunetę dojrzeć nie można.

W okresie okupacji pracowałem od roku 1941 w P. Z. P. jako łącznik i kolporter prasowy, w 43-cim wszedłem z ramienia B. Ch. do komendy A. K. i tu prowadziłem na razie 5-tkę czyli łączność a w roku 44-ym dostałem kierownictwo wywiadu na terenie Obwodu. Równocześnie byłem w Pow. Komitecie Opieki Społecznej prezesem, współredaktorem akowskiej „Myśli Polskiej" i organu Rocha „Zarzewie". Przez ostatnie pół roku okupacji dowodziłem oddziałem dywersyjnym. Z tego okresu pozostały mi: maszyna do pisania, masa wspomnień, wiele przykrych doświadczeń i zżarte płuca spaniem po lasach, w mokrze i zimnie. Wielu z moich podkomendnych dostało stopnie oficerskie i dobre posady, a ja jak zwykle skromny nie pchałem się i nie dostałem nic. Żrę dalej beton zwany chlebem i to po 35 złotych za sztukę i męczę się, mając za jedyną omastę — nadzieję.

Strasznie lubię czytać i przeczytałem już pewnie tysiące książek. Teraz jednak w pogoni za chlebem nawet i na to czasu nie ma. Dziś czytuję: „Wieś", „Odrodzenie", „Kuźnicę", i „Tygodnik Powszechny".

Z „Wsią" poznałem się niedawno. Udała mi się. Poruszacie w niej akurat takie sprawy, jakie niejednokrotnie nurtowały w chłopskim moim sercu, dręczącym się bezustannie sprawami wsi. Przekonałem nawet kolegę mojego — prezesa powiatowego zarządu PSL o wartości „Wsi" i zaprenumerowaliśmy ją zaraz sobie obydwaj.

Ja obecnie jestem działaczem PSL i Wici. W PSL prowadzę biuro Powiatowego Zarządu, a w Wiciach mam tekę ministra śpiewu i muzyki. Połowę tygodnia pracuję w Nowym Sączu u nich, a połowę na wsi w nędznym sklepiku, który stanowi podstawę mojego życia.

Piszę i wiersze, ale nigdy do nich nie przywiązywałem najmniejszej wagi — nawet wtedy, gdy ukazywały się od czasu do czasu w konspiracyjnych pismach. Uważam je, jak w ogóle wiersze, za skwarki w gulaszu. Jeśli zaś piszę, to po prostu sam nie wiem po co i dla czego — może dlatego, że nie mam innej namiętności; nie palę, nie piję, więc cóż mam robić. Obiecuję jednak poprawę — w zależności od Waszej porady.

Józef Bieniek
Librantowa pod Nowym Sączem

CZESŁAW SCHABOWSKI

Wielki połów

Fragment z powieści p.t. „Tama"

Znalazłszy w wiklinie Wojtusia, Sławek krzyknął zachwycony: — Wojtuś! ale ci leszcza, leszcza tatuś złapał!

— Widziałem smoka... ma kilo murowane.

— Skąd wiesz? tatuś też mówił?

— O, ja się na tym znam, tak jak tatuś.

— Tatuś kazał ci przyjść, żeby okonie skrobać. Będziemy piekli.

Wojtuś, kiedy tylko był nad Wisłą przy ojcu, zawsze skrobał „picary" i piekł, czego mu zazdrościł Sławek. Ale trudno, on był jeszcze za mały i nie potrafił tak zgrabnie z tym się obchodzić, jak starszy o trzy lata prawie Wojtuś, który w domu i przy oczyszczaniu flaków pomagał, za co pozwalała mu matka jakiś smaczniejszy kąsek złapać.

Czuł Wojtuś, że ojciec leszczem udobruchany na tyle, że paska nie pokaże, więc poszedł za Sławusiem. Ryby poświęcone dla nich na ucztę już leżały przy ognisku. Sprawił się z nimi w mig. Jednego największego okonia nadział na patyk i dał Sławusiowi, aby sobie piekł, lecz gdy ten tylko zaczął patykiem obracać, ryba wpadła do ognia i spaliła by się na nic, gdyby nie udało się Wojtusiowi w porę z żaru wyciągnąć.

— Widzisz, za mały jesteś do tego. Zostaw tę robotę.

— Nie, Wojtuś. To tylko raz mi się nie udało, ale teraz będę uważał.

— Zostaw, spalisz znów.

Teraz Czaplewski musiał odejść od podrywki, bo czuł, że synki zaczną się kłócić o pieczenie ryb, i znów może wyjść tak jak z obiadem.

Szybko mu to poszło, bo ryba nie potrzebuje się piec długo; ziemniaki w popiele też doszły i mógł wreszcie pomyśleć o posiłku, nie zapominając o sprawiedliwym podziale z dziećmi. Uczta była wspaniała i obfita; każdy w milczeniu delikatnie obierał mięso rybie z ości, zagryzał ziemniakiem, ziemniak ogórkiem; na „deser" mieli zielony groszek i słodziutką marchewkę. Kiedy byli już syci, ojciec wyganiał synków do domu.

— Wy już musicie iść, ja zostanę. Powiedzcie mamusi, że ryba chodzi i ja nie mogę od cyrpoka odejść. Leszcza zabierzcie ze sobą.

Jeżeli Czaplewski zostawał nad Wisłą na noc, to przeważnie w towarzystwie jednego ze synów, który był po to przy ojcu, aby patyki nosić, podtrzymywać ogień, kucharzyć. Brał ze sobą Czaplewski przeważnie Wojtusia, ale odrazu z domu. Teraz chętnie zostawiłby go też, ale nijak Sławusia samego nie można było puścić do domu. Natomiast obydwóch też nie mógł zatrzymać, bo matka niepokoiłaby się. Dopiero sam Sławuś rozwiązał cały problem.

— Tatusiu kochany! Tyle razy Wojtuś był z tatusiem, a ja ani razu, niech ja dzisiaj zostanę. Wojtuś sam trafi do domu.

— Chcesz iść sam, Wojtuś?

Tylko na to czekał. Przecież, jak zaniesie rybę doktorowi, to parę centów na pewno dostanie za drogę.

— A czy leszcza wezmę ze sobą dla doktora?

— Pewnie. Właśnie rozchodzi się o to. Obiecałem.

— To niech tatuś da rybę.

Już dość duży kawałek odszedł Wojtuś, kiedy Czaplewski przypomniał sobie.

— Jak jutro przed południem nie będzie mnie w domu, to znaczy że ryba dalej chodzi, więc o obiedzie nie zapomnijcie dla nas! No i po ryby trza przyjść! I nie przynieśta znów w garczkach jakich kamieni i trawy!

Ledwo Wojtuś odszedł, uradowany Sławuś zabrał się ogromnie ochoczo do noszenia patyków. Tak się spocił biedaczyna aż ojciec zwrócił na to uwagę:

— A nie męcz że się tak, Sławuś! Masz czas! Będzie dość na razie!

— Ja nie chciałbym, żeby tatusiowi było zimno w nocy. Jak będzie dużo patyków, to będzie ciepłuśko, nie?

Nagle Czaplewski poderwał się. Jeden kij podrywki drgnął, tak, jakby jakiś jesiotr ogonem go łupnął. Doskoczył szybko jak błyskawica do „cyrpoka", dzierżąc sochę nerwowo lewą, koniec żerdzi prawą ręką—jak tylko mógł najgwałtowniej, poderwał do góry sieć, zrobił odrazu worek z podrywki. I trzepot w niej opętany mało rozumu nie pozbawił tego człowieka z nad Wisły. Coś nielada wielkiego musiało zaplątać się w sieć. Nie łatwo przychodziło uporać się z jakimś wodnym potężnym stworem. Szamotało się to, jak w przeczuciu ostatnich chwil w wodzie; kije trzeszczały i zdawało się, że wszystko w strzępy pójdzie; aż Czaplewski jakimś cudem wbił ostry koniec żerdzi w brzeg, sochę podparł tak daleko, że napięta siatka podrywki nadal była workiem bez wyjścia, i nie namyślając się, w ubraniu do wody wszedł, lecz w tej chwili Sławuś w okropny płacz.

— Cicho bąku, bo nic mi się nie stanie!

— Jezu! bo tatuś się utopi! mamusia kochana! — darł się jak opętany i ręce wyciągał do ojca.

Aby ratować połów, Czaplewski postanowił nie zwracać uwagi na krzyczącego synka. Zanurzał się w ubraniu coraz głębiej, starając się tak manewrować, aby cyrpok odpinać po jednym rogu od kija, wszystkie cztery w rękę ująć i w ten sposób nie dopuścić do połamania kijów i ucieczki ryby. Udało mu się to; miał jeszcze grunt pod nogami, ale kiedy zrobił ruch, by potwora wraz z siecią do brzegu przyciągnąć, zrobiło to we wodzie szum okropny, taki, że zdawało się, nie da rady Czaplewski temu. A tu Sławuś krzyczy jakby ojciec utopił się. I nagle, kiedy Czaplewski okręcał sobie rogi siatki naokoło ręki, stracił grunt, zwierz jakiś chyba, nie ryba, począł ciągnąć go coraz dalej od brzegu wraz z siatką.

Czaplewski pływał może niezgorzej od tego bydlęcia w siatce, ale w ubraniu i butach, nie łatwo to idzie, ale trudno; nie mając innego wyjścia, wciągnął ile mógł powietrza, głęboko w płuca, zanurzył się i począł wolną lewą ręką macać po śliskim cielsku ryby.

— To chyba sum — przemknęło mu przez myśl — dobra jest, płyniemy dalej, niedaleko przecież jest grunt.

Wypłynął na powierzchnię, pokazał się krzyczącemu rozpaczliwie Sławusiowi. Starał się trzymać blisko brzegu; udawało się; Aż oto i do mielizny zbliżał się z głupią rybą, która mimo swej siły i wielkości, nie mogła odciągnąć człowieka daleko od brzegu. Reszta dla Czaplewskiego była zabawką. Kiedy poczuł grunt pod nogami, nie płynął, lecz brodził za rybą trzymając końce podrywki, jak smycz z psem. Coraz płyciej, płyciej, aż zrezygnowana ryba, jakby w zrozumieniu, że sama wpadła w swoją pułapkę, pozwoliła robić ze sobą, co tylko Czaplewskiemu się podobało. Był to sum takiej wagi, że Czaplewski teraz zrozumiał, że jeśliby nie postąpił tak, jak to uczynił — ani ryby, ani siatki nie widziałby dziś na swoje oczy.

Rozpacz i strach Sławusia o ojca, teraz zmieniły się w nieopisaną radość:

— Tatusieńku, tatusieńku kochany! ale też sumisko okropne! a to mamusia się ucieszy! Niech mi go tatuś pozwoli pomacać.

Czaplewski ledwo taszczył bezwolną, ogłupiałą, ogromie ciężką rybę.

— Natychmiast, synku, rób ogień taki jak w piekle, żeby ubranie wysuszyć!

Chłopię ani ryby nie tknęło, lecz zakrzątnęło się około ognia, aby jaknajcieplej tylko było kochanemu tatusiowi, który aż takiego suma złapał, co tatusia chciał utopić! O, ale z tatusiem nie tak łatwo! Tatuś silny, tatuś umie pływać tak, że zwiąż tatusiowi ręce i nogi, zrzuć z nadbrzeżnej wierzby na najgłębszą wodę, a tatuś wypłynie sobie i nic. Opowiadali to inni o ojcowskich takich wyczynach, a dziś Sławuś naocznie przekonał się, co to tatuś potrafi.

— Już teraz zawsze będę grzeczny, zawsze będę tatusia słuchał, bo tatuś tak pięknie pływa! — obiecywało sobie w duszy chłopię.

Zabezpieczywszy rybę, Czaplewski rozebrał się przy ognisku i rozwiesił nad nim swą odzież, poczem poszedł robić porządek z kijami, z podrywką. Rozemocjonowany takim połowem, postanowił jeszcze raz zanurzyć „cyrpok" we wodzie. A Sławuś naniósłszy patyków, oderwał się na chwilę od tej roboty, aby iść i nadziwić się sumowi. Nie zapomniał zabrać gruby kij ze sobą.

— Ale też rybisko, rybisko — dziwował się, obchodząc suma dookoła. Był to grubas okropny, cała jego grubość i potworność skoncentrowana była przy paszczy i karku, od którego zwisał długi syreni ogon. Sławuś nie mógł się oprzeć, aby nie wygrzmocić potwora trzymanym w ręku kijem. — A masz, ty sumiachu wstrętny, a masz za to, że chciałeś tatusia mi utopić. Już nie będziesz małe rybki żerał! Teraz ciebie Abramek zje! Nadszedł na to ojciec:

— Nie synku, Abram tego jeść nie będzie.

— A czemu? Przecież za taką rybę już tatuś nie musiałby może więcej za szyby płacić. Ale by cieszył się Abram, cieszył, a ja? Boże, chyba pięć koron za drogę dałby, nie?

— Nie, synku, to nie dla Abramka. Daj mu darmo, a on nie zjadłby chociażby z głodu zdechł... to jest trefne.

— Acha! to takie jak kiełbasa albo wędzonka!

— Tak dziecko, a nawet jeszcze lepsze... ciort wie czemu głupie żydy tego nie lubią...

— To fajnie tatusiu! My to sami zjemy!

— Jakże dziecko! też nie! za dużo tego... ot tak ze dwa, trzy kilo, a resztę rozsprzeda się na kila dla ludzi. Porąbie się to jak cielaka i jatki zrobimy w domu.

Kiedy ubrany w suchą odzież Czaplewski robił porządek z podrywką, Sławuś już spał przy ognisku, przy którym nie wiedzieć kiedy zasnął na rozciągniętej na piasku kapocie. Teraz Czaplewski musiał sam co jakiś czas podtrzymywać ogień, odrywać się co chwilę od podrywki, bo żal mu było dziecka, które spało w najlepsze, jakby w domu w wygodnym łóżku. Ryba mało pokazywała się, ale od czasu do czasu też coś zabłąkało się do podrywki. Ale to wszystko było niczym w porównaniu ze sumem. Tym bardziej, że taki połów jak dzisiaj, był wielką rzadkością w życiu Czaplewskiego.

Poszedłby do domu; miał przecież na dzisiaj dość, ale żyłka rybacka nie dała mu odejść od nęcącej wody. A nuż jeszcze jeden taki sum wlezie do siatki? Tak uchodziły godziny Czaplewskiemu, biegającemu od podrywki do synka, i z powrotem do wody. Ryba prawie, że nie pokazywała się. Ciągnął i ciągnął, — skończyło się. Zniechęcony, około północy już miał całkowicie wyciągnąć podrywkę z wody, kiedy jego oczy zostały nagle pochłonięte nowym dziwnym widokiem: na tle srebrnego księżyca poprzez Wisłę z tamtego brzegu na ten brzeg, coś potwornego, niesamowitego szło. Miało „to" okropnie duży łeb, wielgachne jakieś usiska, i jedno dziwne świecące ślepie, i to gdzieś nisko pod całym globusem łba. Na Czaplewskim skóra ścierpła, przykuło go do miejsca, ni ruszyć się ni słowa powiedzieć nie był w stanie. Na szczęście „to" szło bokiem, brodem, prosto na jego suma, — Co to może być — ledwo mógł pomyśleć — idzie „to" na ten brzeg. Już o sumie zapomniał, bo wrażenie było coraz okropniejsze, łeb z potwornymi usikami rósł i rósł, coraz więcej zbliżał się do brzegu. — Ki diabli, co to może być — drży Czaplewski, chociaż do kategorii tchórzów nie należał.

Kucnął, skulił się w sobie, czekał; niech będzie co chce. Na szczęście „to" dalej szło w bok, na bród, lecz prosto na suma. Doszło, i jak nie łupnie tym łbem o brzeg — zdawało się Czaplewskiemu — dziurę w brzegu chce zrobić by Wisła ze Sanem się tutaj zlała. — Oho, już po sumie — pomyślało się Czaplewskiemu. Ale przemógł strach, sum był ważniejszy niż wszystko. Skoczył jak stał, z gołymi rękami, ale jak nie krzyknie jakimś strasznym głosem, nieludzkim, tak „to", co miało być czymś potwornym, w głosie stało się nagle potulniutkie jak sam Sławuś. — Cicho, cicho, — drżało „to" ludzką mową — żeby tylko strażniki nie zobaczyli.

— Mamy cię! — znów przemknęło Czaplewskiemu przez myśl — przemytnik.

— Co do diabła! Co to jest! — huknął teraz groźnie i odważnie Czaplewski. A tu i Sławuś się zbudził, pewnie z zimna, bo ogień już dawno wygasł, i w płacz, bo ani ojca, ani ognia przy nim. Dosłyszał go Czaplewski — cicho, cicho synku, ja tu! — uspokajał.

— To chyba pan Czaplewski? — odezwał się przemytnik.

— A, to pan Jagnicki! Ale też miałem, miałem strachu!

— Tatusiu! tatusiu! — wołał płaczliwie Sławuś — gdzie tatuś jest!

— Zaraz przyjdę — rzekł Czaplewski do przemytnika — muszę tylko syna uspokoić.

Kiedy przyprowadził dziecko ze sobą, przemytnik już coś majstrował obok tego co wyglądało na „łeb" potworny: były to zajdy, tobołł związany w dwa wystające ucha: w obawie aby tego nie zmoczyć, przemytnik niósł na głowie. Noc, godzina „duchów", księżyc świecący za przemytnikiem, z tyłu cień—sylwetkę tworzący, cygaro żarzące w ustach przemytnika — wszystko to wytworzyło niesamowitość i strach, tak szczęśliwie zakończony, bo przemytnik wyjął z tobołka butelkę.

— Napije się pan?

— Jeszcze by nie... Panie, zobacz pan, jakiego suma złapałem.

Stali trochę dalej od ryby, więc do tej pory przemytnik nie widział połowu Czaplewskiego. Zobaczywszy, od razu zaproponował kupno. Dobito targu prędko, zapito a jeszcze na dodatek przemytnik obdarował Czaplewskiego tytoniem dobrym, i w wesołym nastroju, taszcząc to wszystko wspólnie, szli nocą szczęśliwi ludzie do domu.

Poeta rabacji chłopskiej

Poranek pisarzy-chłopów w Krakowie

Staraniem Ludowego Instytutu Oświaty i Kultury przy współudziale zespołu artystów Teatru Rapsodycznego, zorganizowano w Krakowie dnia 2 lutego br. „Poranek Pisarzy Chłopów". Poranek poświęcony był twórczości dwóch pisarzy: powieściopisarza i nowelisty, Józefa Pogana z Bendkowic i poety Jana Marcinka z Bieńkowic (obie wsi w powiecie krakowskim).

Józef Pogan, którego jedną z dłuższych nowel pt. „Morowa baba" odczytano, — którego dotychczasową twórczość omówił na poranku dr Józef Spytkowski, wielokrotnie drukowany na łamach „Wsi" jest obecnie powszechnie znanym i cenionym pisarzem chłopskim. Sylwetkę literacką tego pisarza, pióra dr Józefa Spytkowskiego zamieściliśmy już swego czasu w naszym piśmie, dlatego też to, co usłyszeliśmy o Poganie na tym poranku, nie przyniosło dla nas rzeczy nowych: oceny Spytkowskiego przemyślane i postawione pewnie — określają Pogana jako przede wszystkim zdolnego nowelistę. Powieść Pogana natomiast nie jest jeszcze konstrukcyjnie zwarta, sam autor zapowiada też ich dalszą przeróbkę — niemniej jednak jest to jeden z najciekawszych talentów chłopskich jakie ukazały się w literaturze polskiej ostatnich miesięcy. Pogan jest pisarzem tendencyjnym. Jego nowele nie są tylko utworami literackimi, samymi w sobie — ale służą zawsze do przeprowadzenia jakiejś myśli. Pogan jest jak gdyby propagandystą — a rzeczy opisywane układają mu się przeważnie w kategoriach winy i kary.

Inaczej zarysowuje się twórczość Jana Marcinka, poety-epika. Sześćdziesięciopuroletni poeta-chłop, zajmujący się prócz pracy na roli i pracą literacką — ma w dotychczasowym, nie ukazanym jeszcze drukiem dorobku, kilka dramatów, opowiadań itd. Perłę jego dorobku stanowi ogromnych rozmiarów epos chłopski dawnych czasach, do którego treść zaczerpnięta została z opowiadań ludzi starych, autentycznych uczestników Rabacji Chłopskiej 1846 r. Poeta, będąc chłopcem jeszcze, wysłuchiwał ich opowiadań — zachował żywo w pamięci — a dziś zaczął odtwarzać je i przelewać w wiersz.

Dzieje tego ogromnego eposu chłopskiego, liczącego 73 tys. wierszy(!), obracają się głównie około roku 1846 — szczegółowo opisując wypadki chłopskiej rabacji tego roku, kampanii węgierskiej 1849 roku itd. Fragment zwycięskiej bitwy, jaką chłopi stoczyli z wojskiem austriackim pod Gdowem, odczytany na „Poranku", ukazuje nam od razu poetę jako zdolnego epika. Podobnie jak Pogan w powieści, tak i Marcinek nie celuje konstrukcją, należytym rozplanowaniem i powiązaniem w całość części utworu. Struktura tego eposu gubi się jeszcze i gmatwa w przydługich narracjach i niepotrzebnych epizodach — ale też nie to stanowi o wartości tego ogromnego eposu chłopskiego samouka. Marcinek staje się za to, w pewnym sensie, mistrzem w opisywaniu i przedstawianiu rzeczy drobnych, oddzielnych obrazów i scen, które umie barwnie i żywo oddać w najdrobniejszych szczegółach. Co do nagromadzenia szczegółów opisy jego nie ustępują w dokładności opisowi Tarczy Achillesa. Nasuwają się nam mimowoli porównania: Iliada, Pan Tadeusz, Pan Balcer w Brazylii... nie dlatego, aby poetę stawiać na równi z tymi poetami, ale dlatego przede wszystkim, aby wskazać na źródło skąd wywodzi się rodowód chłopskiego eposu Marcinka.

Marcinka charakteryzuje „uczciwość poetycka", jeżeli użyjemy słów prof. Pigonia, który omówił na poranku samorodną jego twórczość poetycką. W pierw-

(Dok. na str. 7-ej)

JÓZEF GURGUL

Wieś jako odbiorca literatury

CZYTELNICTWO CHŁOPSKIE

Powierzchowny obserwator wsi mógłby na podstawie biblioteczek spotykanych nieraz po chłopskich domach powziąć jak najgorsze wyobrażenie o wsi jako odbiorcy literatury: mieszanina wartości, począwszy od pisemek i broszurek religijnych, poprzez romansidła i powieści kryminalne, skończywszy na uczonych nieraz traktatach, dziwną często koleją losu tam złożonych, — skłaniałaby do wniosku, że wieś nie umie dobierać sobie wartościowych książek. Zdawałoby się, że wieś interesuje i porywa jedynie „urok dziwnej przygody", „blask innego życia", a brak jej zrozumienia dla artyzmu dzieła, dla jego wartości estetycznych.

Wynikałoby z tego, że wieś, w poszukiwaniu „dziwnej przygody" i „blasków innego życia", jednakowo winna by reagować na fantastyczne romansidła straganowe, często z życia dworskiego, np. w stylu „Czarnego widma", „W letargu", jak i na Mniszkównę, Rodziewiczównę i Sienkiewicza z jednej strony, a Reymonta, Prusa, Dygasińskiego, Wiktora czy Kruczkowskiego, z drugiej.

Gdy jednak przyjrzymy się bliżej łączności wsi z literaturą piękną na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat, dojdziemy do wniosku, że sposób przyjmowania wymienionych grup utworów zmieniał się, zależnie od czasu, — dojdziemy do wniosku, że grupy czytelników, jakie niektórzy wyszczególniają jako charakterystyczne dla **współczesnego** czytelnictwa wiejskiego, — tworzą pewną linię rozwojową: byli tacy czytelnicy, którzy czytali tylko dla zaspokojenia dewocyjnych uczuć, byli również tacy, którzy czytali tylko romanse brukowe i sensacyjne powieścidła (niedobitki ich pętają się jeszcze tu i ówdzie, w bardziej tradycyjnych, niedostępnych świeższym powiewom środowiskach, wpływ ich jednak wciąż maleje), są natomiast, i to najliczniej reprezentowani chłopi — odbiorcy literatury, czytający po to, by obok przyjemności, czegoś się nauczyć, są również chłopi-czytelnicy (niektórzy ich nie dostrzegają), których urzeka artyzm utworu litratury pięknej, i którzy artyzm ten rozumieją, jakkolwiek wrażeniom swym nie mogą dać wyrazu słowami przyjętymi przez uczonych estetów-krytyków.

Nie o nazwy tu jednak chodzi.

Nie przeczę, że, jak dotąd, trudno spotkać na wsi czytelników, którzyby książkę czytali dla jej wartości estetycznej. Osobiście jednak w zmartwieniu tym pociesza mnie fakt, że nie tylko wieś, ale również większość tzw. inteligencji w mieście nie czyta książek dla samej wartości estetycznej. Są natomiast czytelnicy, którzy obok interesującej fabuły, oprócz myśli i problemów, dostrzegają również artyzm.

Nie bądźmy gołosłowni. Gdy uszeregujemy wyżej grupy czytelników w głąb, otrzymamy obraz **historycznego rozwoju konsumcji literatury** przez wieś. Przy śledzeniu tego rozwoju wciąż jednak musimy pamiętać o ścisłym związku między twórcą dzieła literackiego, dziełem samym i czytelnikiem.

LITERATURA „DLA LUDU"

W początkach zainteresowania się wsi literaturą, zetknęła się ona z tymi wartościami, które jej podano. Z atmosfery pracy nad ludem w drugiej połowie 19 w. który to lud chciano oświecić i zachować w moralności i poszanowaniu porządku społecznego („z szlachtą polską — polski lud") — wyrosła specjalna **literatura dla ludu**. Lucjana Siemieńskiego „Wieczory pod lipą, czyli historia narodu polskiego opowiadana przez Grzegorza z pod Racławic" — wydana w 1845 r., W. L. Anczyca, pod nazwiskiem Kazimierza Góralczyka „Zbiorek ku zabawie i pożytkowi tych, którzy już gładko czytają", wydany w 1862 r., tegoż autora „Dzieje Polski skreślone dla użytku braci włościan" (1863) i wiele, wiele innych, jak np. wydawnictwa Feitzingera w Cieszynie czy różne gazetki, jak „Dzwonek", „Chata" „Snopy", „Wieniec i pszczółka" — oto niektóre tylko pozycje z bogatego repertuaru, wówczas dla wsi przeznaczonego.

Oczywiście, że wieś karmiona taką literaturą, według niej urabia sobie smak literacki.

I zasmakowała wieś w różnych historiach o poczciwych, pobożnych i cnotliwych chłopkach, którzy w nagrodę za swą poczciwość otrzymują uznanie od plebana lub pana dworu, zasmakowała w żywotach różnych świętych, jak np. św. — Genowefy itp. legendach.

Z czasem pojawiły się i bardziej świeckie historie, „ślabizowane" chętnie przez ruchliwszych chłopów we wsi. Wspomniany Feitzinger w Cieszynie dostarczał masowo przeróżnych legend np. „O Aleksandrze, księciu bułgarskim, bohaterze i obrońcy wolności", „Historia o Gryzeldzie, księżnie Sulurskiej", które podobnie jak „Historia o niezwyczajnym rycerzu Zygfrydzie", lub „O szlachetnej i pięknej Magielanie, córce króla Neapolu" — przeważnie z niemieckiej literatury tłumaczono i przerabiano.

I do tych opowieści dodawano jednak stale sens moralny, jako wydźwięk utworu. Nawet Robinson został przedstawiony jako „Robinson nowy, czyli skutki nieposłuszeństwa", w wydaniu F. Foltyna w Wadowicach (1888).

Na tym podłożu sensacyjna literatura rychło znalazła zwolenników. Ale i bandyci w powieściach „dla ludu" usiłują postępować według swoistych zasad moralnych: gnębią nieuczciwych wielmożów, wspierają biednych lecz szlachetnych. Najbardziej znane są historie o Rinaldo-Rinaldinim i Abelino — strasznym bandycie.

Niestrudzonym na polu dostarczania literatury dla ludu był Józef Grajnert, pisywał dla wsi Gregorowicz, Lompa, K. Promyk (Konrad Pruszyński), Chociszewski i inni. Specjalne „Biblioteki tanich książek dla ludu i młodzieży" urabiały smak literacki wsi. Takiej chłonności literatury, jak za czasów Bojki, Kurasia Magrysia, Janika z Bugaja, Stapińskiego i Wysloucha, nie wykazała wieś długo potem.

Jakkolwiek byśmy osądzali tę literaturę, musimy przyznać, że spełniła ona ważną rolę: przygotowała grunt pod czytelnictwo powieści historycznych, literatury ogólnonarodowej, w pierwszym rzędzie Sienkiewicza i Kraszewskiego. J. St. Bystroń, w bogatej w wiele materiału „Kulturze ludowej" stwierdza również, że czytelnictwo na wsi poczęło się podnosić przez Kraszewskiego, potem przede wszystkim przez „Trylogię" Sienkiewicza (s. 379).

WIEŚ WOBEC LITERATURY NARODOWEJ

W przejściowym okresie, wywołanym pojawieniem się na horyzoncie literackim wsi powieści Kraszewskiego, Sienkiewicza, czy innych pisarzy narodowych, obok dotychczasowej literatury „dla ludu" — zdarzają się ciekawe momenty reagowania na wartości literackie, wnoszone przez pisarzy w stylu Kraszewskiego, Sienkiewicza, Prusa czy Reymonta. Przyzwyczajenie do przejmowania z literatury „dla ludu" tylko ciekawej fabuły z końcowym sensem moralnym, wychodzi na jaw w sposobie reagowania na najbardziej wartościowe powieści. W kilkunastu wypowiedziach chłopów tego okresu na temat pewnych utworów literackich, odbija się tylko: treść czytanego utworu oraz ocena szlachetności czy podłości działających postaci. Tak np. oceniał wspomniany przez Chałasińskiego młody gospodarz — „Chłopów" Reymonta, jako historię „romansu dwojga młodych i pięknych kochanków... w czym im przeszkadza postać jakiegoś starszego pana, który pali smalone „duby" do owej pięknej panienki... Jak to dalej będzie, jak będzie, czy owa młoda, cudnej urody, wyjdzie za owego niekochanego starszego pana,.. czy nie wyjdzie.." Chłop ten ceni dalej Reymonta za to, że „potrafi trzymać w napięciu nerwów".

Od chwili pojawienia się na wsi powieści Kraszewskiego (zwłaszcza „Stara baśń" i „Chata za wsią") i Sienkiewicza, czy to w odcinkach pism, czy w wydaniu książkowym („Ogniem i mieczem", wydane zostało książkowo w 1883 r., „Stara baśń" w 1873), od chwili pojawienia się wiejskich utworów Lenartowicza i Konopnickiej, — wśród dotychczasowych czytelników na wsi dokonuje się powoli przełom: dla bardziej postępowych, śmielszych działaczy chłopskich nie wystarcza już niemowlęcy pokarm, dostarczany przez specjalną literaturę „dla ludu". Chłopi zaczynają sięgać po zwyczajny pokarm, po zwyczajne dzieła literatury bezprzymiotnikowej, pragną się czegoś z niej dowiedzieć o świecie, o narodzie swoim, pragną się czegoś nauczyć, — przy równoczesnym zadowoleniu z fabuły. Drugie skrzydło tkwi nadal w literaturze fantastyczno-awanturniczej, przechodząc często do straganowego romansidła.

Przodująca warstwa chłopska poszła jednak, ścigana rozbudzonym przez działaczy społecznych pragnieniem wiedzy, tam, gdzie spodziewała się pragnienie to zaspokoić: za Kraszewskim, Sienkiewiczem, Prusem, Rodziewiczówną, Konopnicką, czy później Reymontem i Żeromskim. **Brak należytej opieki nad czytelnikiem wiejskim**, wspomniany na początku chaos w biblioteczkach chłopskich, — a stąd **przypadkowość kontaktów chłopa z literaturą**, stwarzały jednak podatny grunt do czytania wszystkiego tego, co wpadnie w ręce. Tylko z tego powodu zdarza się, że dziewczyna 22-letnia błądzi wśród literatury straganowej, zanim odnajdzie właściwe wartości literackie przez organizację młodzieżową: „przyznam się — wyznaje ona w życiorysie — że lubiłam czytać powieści — romanse. Choć niektóre z nich zawierały pewne dobre strony i wskazówki, jednak dużo w nich tkwi zła, choćby to tylko, że rozczytywałam się o pałacach, kobiercach, klejnotach itd., a potem, powróciwszy do rzeczywistości, mimowoli człek tracił zapał i energię do tego szarego życia... **Gdyby się tak więcej od początku czytało takich powieści**, jak „W pustyni i w puszczy", „Quo vadis", choćby i „Robinsona" — inne trzeźwe zapały i pojęcia zakiełkowałyby w młodej duszy niż po przeczytaniu jakichś dramatów i romansów"...

Utwory pisarzy i poetów tej miary, co Kraszewski, Sienkiewicz, Prus, Rodziewiczówna, Konopnicka, wnosiły na ówczesną wieś nowe zagadnienia, nowe wartości, przynosiły już nie tylko pokarm dla wyobraźni, czy przykłady moralnego postępowania, ale sugerowały pewne postawy wobec dziejów narodowych, wobec zagadnień społecznych, politycznych, dalszych lub bliższych wsi. Literatura ta jest chętnie czytana, a jubileusze organizowane przez chłopów na cześć Sienkiewicza, czy Konopnickiej, są wyrazami głębokiej wdzięczności wsi dla tych twórców. W adresie dziękczynnym wysłanym przez chłopów powiatu tarnobrzeskiego na uroczystościach ku czci Sienkiewicza, zorganizowanych przez chłopskiego działacza Wojciecha Wiącka — dziękują chłopi Sienkiewiczowi „za wybitną i niezmordowaną pracę na polu powieściopisarstwa, przez którą **rozgrzał serca włościańskie dla sprawy ojczystej"**.

POSTULATY CZYTELNIKA WIEJSKIEGO

Uczyli się chłopi z literatury narodowej patriotyzmu, ale szukali w niej również własnych dziejów.

„Czytywałem „Dzieje Polski" — pisze gospodarz z powiatu Hrubieszów, urodzony w 1873 r. — i różne książki, jak „Krzyżacy", „Ogniem i mieczem", „Potop" i „Pan Wołodyjowski" itd. — **ale nigdzie nie doczytałem się o chłopie polskim:** jak w owe czasy życie pędził, tylko panowie szlachta i pachołkowie wszędzie byli i wszystko robili, **zdawałoby się, iż sam ród szlachecki był w owe czasy"**.

Wdzięcznym więc byli chłopi tym pisarzom, którzy zajęli się problemem wsi. Wdzięcznym był Bojko Wyspiańskiemu za życzliwe słowa wyrażone przez Gospodarza o chłopach, ich piastowskich rysach i potędze. Wdzięcznym był i Witos, który w imieniu całego chłopskiego społeczeństwa złożył hołd Reymontowi w 1924 r. w Wierzchosławicach, za podjęcie tematu chłopskiego i rozsławienie go w literaturze.

Tacy twórcy jak: Anczyc, Dygasiński, Konopnicka, Wyspiański, Prus, Reymont, a z nowszych Orkan, Wiktor, przekazali w swych utworach dużo życzliwości dla chłopa. Życzliwość tę wyczuli chłopi i z wdzięcznością wspominają te imiona, jakkolwiekbyśmy, z dzisiejszego punktu widzenia oceniali twórczość Konopnickiej, Lenartowicza itp.

Gdy jednak wieś zauważyła brak życzliwości w stosunku do siebie, czy prawdy o sobie, potrafiła się nawet upomnieć o właściwe opracowywanie zagadnienia chłopa w literaturze, o dobrą literaturę dla mas chłopskich, jak to było na zjeździe Młodej Wsi w Warszawie w 1933. Oskarżenie dotychczasowej literatury przez przodowników wiejskich, niezadowolenie z niej, wywołało zniecierpliwioną odpowiedź — proroctwo Sieroszewskiego: „weźcie się sami do pisania".

Wzrastający krytycyzm chłopów wobec literaury świadczy, że **pewien stopień wiedzy o literaturze został przez nią osiągnięty.** Coraz częściej chłopi zaczynają zwracać uwagę na właściwości językowe, stylowe, na charaktery postaci itp.

„Twe dzieło „Ogniem i mieczem" — pisze w adresie Sienkiewiczowi Bojko imieniem PSL w 1916 r. — Twój „Potop", doszedł pod strzechy nasze i w tych pismach poznaliśmy swojaka w Tobie. Bo nie jesteśmy jeszcze tak wyszkoleni, aby dzieła wszystkich naszych pisarzy zrozumieć, ale Twój **sposób pisania**, jest tak jakoś **jasny**, że każde nawet chłopskie dziecko zrozumie, co mówi Twój przepyszny Zagłoba, co mówią inni bohaterowie Twoi.. Tak pisać to sztuka..."

— „Śmierć Boryny" — pisze gospodarz z pod Rzeszowa — tak **rzewnie** opisaną, czytałem dziesiątki razy, lałem rzęsiste łzy widząc w duszy **obraz siejącego w świetle księżyca Boryny**, siejącego do ostatniego swego tchnienia..."

„Wiersze Mickiewicza, Lenartowicza, **opiewające przyrodę**, niezmiernie mnie zachwycały... ulubionym pisarzem był Dygasiński, **mistrz w opisach przyrody i zwierząt"** — pisze inny gospodarz.

Z powyższych przykładów widzimy, że mimo braku podstawowych wiadomości o analizie estetycznej utworu literackiego, zwracają jednak chłopi często uwagę na te składniki utworu, które stanowią o jego piękności, a więc: język, styl, obrazowość, jasność, prostotę, opisy przyrody, żywość opowiadania, talent autora itd. Dochodzą do tego wewnętrzne wartości utworu literackiego, jak: wierność epoki, realizm psychologiczny, wartość ideowa bohaterów, żywość akcji itd.

Co więcej: pod wpływem tej literatury inaczej patrzą na ziemię, miejsce swojej ciężkiej pracy: „W czasie zmęczenia (po orce), — pisze jeden z autorów życiorysów — gdy twarz rzęsiście była skropiona potem, kładło się na ciepłem dyszącą ziemię, miłą, kochaną matkę, karmicielkę, tuliło się do niej, chciało się uściskać z radości za to życie i piękność, które naokół roztacza. Chciało się przemówić do niej, czegoś się dowiedzieć. Przykładało się zroszone czoło do jej łona, by coś usłyszeć. Leżało się tak, stłumiwszy oddech kilka długich chwil. Nic. Cicho. Tylko szmer lekki trawy, jakieś tchnienie, powiew. Intuicyjnie odczuwało się, jakby w tym lekkim tchnieniu mówił: Synu mój, bądź mi wierny".

W jakim że więc kierunku zmierza smak czytelników wiejskich? Wydaje się, że pierwotne zamiłowanie do ciekawej fabuły, do interesujących opisów nieznanych światów i ludzi, wzbogacone następnie pragnieniem wiedzy z naciskiem na dzieje chłopskie, — uzupełnia obecnie coraz silniej rozwijający się zmysł estetyczny, stwarzając tym samym zarys krytyki i estetyki chłopskiej.

Poeta rabacji chłopskiej

(Dokończenie ze str. 6-tej)

szczegółnie oddanych opisach rabacji roku 1846, która w utworze stanowi jego trzon — nie opowiada się uczuciowo po żadnej stronie: ani po stronie chłopów, ani po stronie dworu. Pierwszym przypisuje między innymi też chęć rabunku, z innej strony widzi znowu czarną robotę rządu austriackiego, który celowo podburzał chłopów przeciw szlachcie, aby wyciągnąć z tego własne korzyści. W opisach bitwy pod Gdowem Marcinek zachowuje epicki spokój.

Na poranku odczytano dwa fragmenty tego chłopskiego eposu: fragment żniw i bitwę pod Gdowem (pt. „Straszny rok"). Gdy we fragmentach bitwy Marcinek staje się epikiem w pełnym tego słowa znaczeniu, bezstronnym, chłodnym obserwatorem i opisywaczem krwawego porachunku chłopów — to we fragmencie żniw, oddając po mistrzowsku owe (pańskie) „dobrodziejstwa pańszczyźniane" — ekonomskie barbarzyństwo — na tle którego nędza i krzywda chłopska występują ze szczególną siłą — staje się poeta klasowym w pełnym tego słowa znaczeniu. Tu ustaje jego epicka cierpliwość.

Nie znamy całości utworu, aby ocenić należycie jego wartość. Nie będzie to zresztą łatwe. Samo przebrnięcie przez utwór sześciokrotnie większy rozmiarami od Pana Tadeusza nastręcza wielkie trudności. Tej samorodnej twórczości chłopskiej nie sposób zresztą ocenić kryteriami, jakimi mierzymy utwory pisarzy inteligentów. Prof. Pigoń, omawiający na poranku twórczość Jana Marcinka, zastrzega się przeciw tym literackim kryteriom, którymi jesteśmy skłonni wartościować samorodną twórczość chłopów („Stosujmy do tej twórczości sprawiedliwą miarę oceny").

Mimo dużych wad i zalet — chłopskość nie ukazała się tu jeszcze w swoim ornym trudzie, chłopskość w swojej istocie nie została tu jeszcze ukazana. Nie jest to zarzut jaki kierujemy pod adresem poety. „Chłopskość — jeżeli użyjemy słów prof. Pigonia — w swojej istocie nie została dotąd ukazana w literaturze polskiej, będzie to zadaniem literatury jutrzejszej".

Jeszcze parę końcowych uwag. Wykonawcy z Teatru Rapsodycznego dali co mogli: p. Halina Kwiatkowska była bezwzględnie najlepszą w interpretacji tekstu, czytała wyraźnie i zrozumiale, p. August Kowalczyk nieźle oddał nowele Pogana, jej wartości gwarowe, wzruszająco przedstawił losy Franki (z noweli „Morowa baba") — natomiast nie możemy mu wybaczyć dowolności jaką zastosował przy recytowaniu znanego wiersza Stanisława Nędzy-Kubińca („Drzewiej"), w którym zagubił (świadomie czy nieświadomie) właściwości gwarowe, zwłaszcza akcentuacyjne i tzw. „mazurzenie" pięknej mowy podhalańskiej. Tę samowolną „próbę" innej recytacji (polegającej często gęsto na zamianie gwary na język literacki (dialekt kulturalny), należy uznać za rzecz chybioną, obniżającą w wielkim stopniu wartość utworu. Gwara jako mowa poetycka integralnie przynależy do utworu Kubińca. I z tym musi się liczyć każdy inteligentny recytator.

W poranku wzięli udział osobiście obaj pisarze — i Pogan i Marcinek. Obaj też w zabawny i gawędziarski sposób przedstawili drogę chłopskiego pisarza do literatury — drogę własną.

I. A. F.

FAKTY I ZDANIA

SPRAWA PLAGIATU RUDNICKIEJ

Udowodniono nam dokumentami drukowanego słowa, że ceniona przez nas poetka ludowa — po dwakroć nawet przez Juliana Przybosia ogłoszona za rewelację prymitywu literackiego, Stefania Rudnicka dopuściła się plagiatu.

Istotnie jej wiersz drukowany w Nr. 4 (32) „Wsi" pod tyt.: Do ciebie matko ziemio — jest dosłownym powtórzeniem pieśni poety Mariana Piechala napisanej przed wojną na święto matki, a wydrukowanej w okolicznościowym śpiewniku. Rudnicka zamieniła jedynie „matkę" na „ziemię" w swoim tekście.

Wydawałoby się (wielu pisarzy będzie tak sądzić), że wypadek Rudnickiej bije w nasze pismo, podważa autorytet pisarstwa ludowego w ogóle.

Tak nie jest. Nie sądzę, by pierwsze utwory Rudnickiej drukowane w lubelskiej jeszcze „Wsi" też były plagiatem — i to Kolberga, jak uważa poszkodowany autor, Marian Piechal.

Rudnicką odkrył Jastrun jako redaktor literacki lubelskiej „Wsi" wyniósł zaś ją na piedestał oryginalności Pr boś. Mam nadzieję, że obydwaj świetni poeci i świetni znawcy literatury polskiej będą mogli coś dorzucić do tego bądź co bądź niepięknego wydarzenia.

Sprawa na pewno nabierze rozgłosu. Chcemy ją traktować surowo, prosto i jasno, dlatego przede wszystkim prosimy Rudnicką o zabranie głosu, żądamy od niej wyjaśnień.

sp

„LECZ KRZYŻACKIEGO GADU NIE UGŁASZCZE NIKT..."

Anglicy starają się być wobec Niemców uprzejmi i łagodni. Od czasu do czasu kopią nawet z nimi piłkę na boiskach większych miast niemieckich. Ostatnio takie uprzejmościowe kopanie odbywało się w Hamburgu. Ponieważ jednak drużyna niemiecka zbierała srogie lanie, „patriotyczni" widzowie miejscowi, oburzeni na Anglików za tak niewątpliwą obrazę honoru t. zw. Wielkiej Rzeszy, obrzucili sędziego i graczy angielskich kamieniami. Zajście to wywołało w całej Anglii wielki rwetes, a Angielska Federacja Piłkarska zabroniła swoim drużynom rozgrywania meczów z Niemcami.

Fakt jest drobny ale bardzo znamienny. Tylko dlaczego Anglicy tak się denerwują? Gdyby nie nazbyt kurtuazyjne traktowanie sądzonych obecnie w Norymberdze hitlerowskich hersztów, gdyby nie heroiczne zabiegi różnych majorów Winwoodów o wyrwanie spod uczciwie zapracowanej szubienicy Kramera, kata z Bergen-Belsen, gdyby nie żale rozmaitych angielskich pism nad „niedolą" wysiedlanych z Polski i Czech Niemiaszków — hitlerowska kanalia nie odważyłaby się na rzucanie kamieniami w Anglików. Niemiecki buldog już szczerzy zęby na głaszczącą go rękę. Pozwólcie, panowie z nad Tamizy, jeszcze trochę działać majorom Winwoodom nad „zbliżeniem angielsko-niemieckim", a doczekacie się jeszcze piękniejszych objawów niemieckiej „przyjaźni". Tylko, że wtedy mogą zamiast kamieni posypać się granaty.

sl

OTO JEST FASZYZM

Był u nas pewien odsetek ludzi, którzy ubolewali nad tym, że jesteśmy w wojnie z Niemcami, zamiast wspólnie z nimi walczyć przeciw Sowietom. Byli też tacy, którzy posuwali się do wypowiadania poglądu, że Hitler oswobodził nas od Żydów", i nie pozwalali sobie wytłumaczyć, że wytępienie Żydów to tylko pierwszy etap oczyszczania ziem polskich z ludności „nieniemieckiej". Tym wszystkim, którzy w jakimkolwiek stopniu rozgrzeszali faszyzm z jego zbrodni i skłonni byli żywić nadzieję na możliwość porozumienia z Niemcami, doradzamy przeczytanie zeznań gen. von dem Bacha, który „likwidował" powstanie warszawskie.

Otóż „bohaterski" ów generał, starający się całą odpowiedzialność zwalić na swoich przełożonych oraz na współpracowników w „zbożnym dziele" gen. SS Reinefahrta i dowódcę własowców Kamińskiego, stwierdza, że był rozkaz Himmlera nakazujący zabijanie także kobiet i dzieci. Rozkaz brzmiał następująco:

„Wszystkich rozstrzelać, jeńców nie brać. Warszawa ma być zrównana z ziemią i stać się przykładem dla całej Europy".

Ten rozkaz bardzo ładnie harmonizuje z następującym wyjątkiem z pamiętników „Generalnego Gubernatorstwa" (Franka:

„Obergruppenführer Bach otrzymał obecnie nowe zadanie pacyfikacji Warszawy, tj. zrównania Warszawy z ziemią, o ile to nie koliduje z wymogami wojskowymi. Przed zniszczeniem należy zabrać wszystkie surowce, towary tekstylne i meble. Nowy rozkaz Führera o gruntownym zniszczeniu Warszawy posiada wielkie znaczenie dla przyszłej polityki wobec Polaków".

Tak wygląda prawda o faszyźmie, prawda, jaką wyczytać można z oficjalnych dokumentów niemieckich.

Jasno teraz może zdać sobie sprawę nawet najnaiwniejszy z Polaków, jak to miała naprawdę wyglądać hitlerowska „Nowa Europa" i jaki los miał stać się udziałem całego naszego narodu.

sl

„TEATRU DLA MAS"... CIĄGLE NIE WIDAĆ

Nie raz na tym miejscu zwracaliśmy uwagę na żałosną politykę teatralną, przypominającą w zakresie repertuaru, ideologii i organizacji przedwojenne wzory TKKT. Prasa ludowa niejednokrotnie podejmowała ten temat, podkreślając oportunistyczny rozdźwięk między rzeczywistością, a hasłem „teatr dla ludu" powtarzanym tak często chyba dla zaklęcia bożka IRONII, czy OBŁUDY. Istotnie, położenie trzeba uznać za gorsze niż przed 1939 r., gdy przecież działał INSTYTUT TEATRÓW LUDOWYCH, gdy istniał Teatr Powszechny, ORMUZ, gdy Cierniak organizował festiwale; gdy w repertuarze błyszczało słowo Mickiewicza, Krasińskiego, Wyspiańskiego, gdy wreszcie Leon Schiller próbował koncepcji nowego teatru polskiego. Wtedy mówiło się o „teatrze dla mas" jak o nieziszczalnym marzeniu. Dziś powtarza się do uprzykrzenia ten termin, banalizując go i ośmieszając, chyba dla zakrycia prawdy — bo współczesny teatr polski, osobliwy rezerwat czasów podobno już minionych, pracuje głównie dla nowobogackich nowej demokracji, racząc ich repertuarem konwencjonalnym, poprawnym, zaiste nic wspólnego z nowym porządkiem nie mającym. W jaskrawym dysonansie do tej rzeczywistości znajduje się hasło „umasowienia" i oportunistyczne komentarze do granych sztuk, w rodzaju sławetnego „Fantazego", który miał obrazować plajtę ziemiaństwa i triumf reformy rolnej...

Z rzadka na terenie publicystyki teatralnej słusznością wypowiada się Kazimierz Rudzki w 5-tym N-rze „Kuźnicy"; przytaczamy wyjątek tyczący naszego problemu:

„Nie mamy repertuaru, którego wszystkie walory potrafiłyby przemówić do wszystkich w sposób spontaniczny, a w każdym bądź razie często gra się sztuki, których zrozumienie nie dla wszystkich jest sprawą prostą. Argument że nie chodzi o to w teatrze, żeby zrozumieć, ale o to, żeby być pod urokiem sztuki, żeby ją przeżyć w miarę własnych możliwości artystycznej wrażliwości, nie jest dla mnie przekonywujący. Chodzi o to, żeby i przeżywać i rozumieć, bo jeśli rozumiemy więcej, to przeżywamy głębiej i wtedy radość z dzieła sztuki jest pełniejsza; jeśli chcemy demokratyzować sztukę, to starajmy się, żeby odgadnięcie jej tajemnych zawiłości, jej zakamarków warsztatu artystycznego było możliwe dla wszystkich, a w każdym razie dla coraz to większej ilości odbiorców. Wiem, że pewnego rodzaju kondygnacyjność sztuki udostępnia różnym odbiorcom — różne jej szczeble. Ale upowszechnienie sztuki nie polega na tym, żeby odciąć właśnie te górne szczeble, ale na tym, żeby życzliwy przewodnik prowadził niewtajemniczonego na te wyższe i najwyższe. To wcale nie ma znaczyć, żeby nie miało być tutaj labiryntów, ale, żeby ludzie przestali po nich błądzić. Realizacja widowiska teatralnego musi być tak jasna, żeby niewtajemniczony odbiorca nie odczuwał ani niepokoju, ani onieśmielenia człowieka, postawionego wobec zbyt trudnych zagadnień. Nie obawiajmy się ani popularnych wprowadzeń w formie krótkich prelekcji, ani tłumaczących artykułów w pismach. Powiedzmy sobie to szczerze, że zarówno nasze pisma literackie, jak również i pisma codzienne w swych literackich dodatkach nastawiły się na dość wysublimowany górny ton. To pięknie, że specjalne, wybrane zagadnienia znajdują w prasie literackiej często tak głębokie odbicie, ale nie wolno nam zapominać o tych wszystkich, dla których utarło się tak niedemokratyczne określenie, jak — „masy", — a którzy stanowią po prostu wielką grupę społeczną nowego odbiorcy dóbr kulturalnych, o którego trzeba walczyć i o którego walczyć warto".

„TWÓRCZY FERMENT"

Tocząca się na łamach „Wsi" od dłuższego czasu dyskusja o gwarze wzbudziła zainteresowanie w świecie literackim. Dyskusja ta, jak również spór — kultura ludowa czy narodowa, spowodowały już wypowiedzi wielu pism literackich.

Ostatnio na temat gwary wypowiada się znany poeta St. R. Dobrowolski w 26 (310) N-rze „Polski Zbrojnej" w artykule pt. „Interesujący spór".

Dobrowolski, streszczając i sumując wypowiedzi pisarzy „na stronicach popularnego już dzisiaj tygodnika „Wieś" — poprzestaje na roli kronikarza i nie zajmuje wyraźnego stanowiska w sporze pisarzy wiejskich z reprezentantami poglądu „ogólnonarodowej kultury".

Pisze on:

„Nie przesądzając tu na razie po czyjej stronie są poważniejsze racje — trzeba stwierdzić, że cały ten spór świadczy o żywym, twórczym fermencie, o mocnym tętnie naszego odrodzonego życia".

Wypowiedź Dobrowolskiego świadczy nie tylko o zainteresowaniu poety i literata problemem gwary, tj. jednym z zagadnień twórczości piśmienniczej. Dobrowolski nadaje dyskusji o gwarze sens szerszy, uważając drukowane we „Wsi" głosy korespondentów i pisarzy chłopskich za zjawisko o doniosłości społeczno-kulturalnej, dowodzące chęci wypowiedzenia się chłopa na temat kultury.

zs.

PISARZE CHŁOPSCY NA ANTENIE

Redakcja tyg. „Wieś" zorganizowała już cztery audycje „twórczości chłopskiej", nadawane na fali ogólnopolskiej co drugą środę. Były to: pierwsza wstępna, druga poświęcona J. Poganowi, trzecia P. Kubiszowi, czwarta J. Mortonowi. Na program piątej z kolei audycji w dniu 13 bm. złoży się omówienie twórczości J. B. Ożoga i wybór wierszy tego poety.

Poza tymi stałymi audycjami polskie radio nadało już dwa słuchowiska poświęcone sprawom pisarzy chłopskich i problemom kultury ludowej, przygotowane również przez członków redakcji „Wsi".

W dniu 3 lutego odczytany został artykuł pióra J. Al. Króla „Z ludu w naród" (z powodu „Ożywczych krynic" J. Wiktora) i w dniu 5 lutego dialog St. Piętaka i L. Świeżawskiego „Poezja chłopska czy ogólnonarodowa".

Zagadnienie uniwersytetów ludowych omówił w dniu 4 lutego M. Piechal.

Również „Oberek świętokrzyski" J. Ozgi-Michalskiego doczekał się omówienia R. Matuszewskiego w jego przeglądzie wydawnictw poetyckich transmitowanym z Warszawy w dniu 6 lutego.

Nr. 5 (33) „WSI" ZAWIERAŁ:

Piotr Ożarowski — **Kultura ludowa czy narodowa?** Stanisław Piętak — **Zimowa noc;** Tłum. Andrzej Jaworski — **Poezja Maksima Tanka (wybór wierszy):** D. O. — **Na pewnej wsi;** Maciej Czuła — **Książka o dawnych pisarzach ludowych; Konkurs na temat „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś?;** Zygmunt Kałużyński — **Marzenie o wielkiej powieści ludowej...,** Stanisław Merkisz — **Jak młody chłop dąży do poezji?;** Józef Andrzej Frasik — **W cieniu dłoni, Przed rampą, Konie;** Eugeniusz Rybak — **W przejętym dworze;** Stefan Lichański — **Dość poezji — czekamy na prozę!:** Mikołaj Witkowiak i Piotr Wyrobek — **Dyskusja o gwarze;** Józef Morton — **Śmierć Kościelnicy;** Józef Bińczak — **Zawieja;** Józef Andrzej Frasik — **Na nowej drodze** oraz noty i ogłoszenia, 2 ilustracje, 8 stron.

SPROSTOWANIE

W 2 (30) numerze „Wsi" ogłosiliśmy na stronie 7-mej artykuł zatytułowany: „Z pogranicza", umieszczając obok tytułu, jako autora, nazwisko Ludwik Brożek. Zaszła tutaj zbieżność nazwisk; stwierdzamy, iż artykuł ten nie pochodzi z pod pióra p. Ludwika Brożka, kustosza Muzeum Miejskiego w Cieszynie.

Sprostowanie niniejsze zamieszczamy na skutek listu Ludwika Brożka, kustosza Muzeum w Cieszynie.

SPROSTOWANIE

W N-rze 5 (33) „Wsi" zakradły się dwie omyłki do KONKURSU na stronie 3-ciej, które niniejszym prostujemy:

1) Tytuł „Jak należy pisać odpowiedź" odnosi się do tekstu 3-szpaltowego, zaczynającego się od słów: „Uwagi poniższe..."

2) W 3-ciej szpalcie, 11 wiersz od dołu winno być „pisarza", a nie „pisma" jak mylnie podano.

Od Redakcji

W związku z powtarzającymi się zapytaniami pisarzy i korespondentów komunikujemy, że redakcja rękopisów nie zwraca. Jednocześnie przypominamy, że rękopisy należy pisać czytelnie i po jednej tylko stronie arkusza; jeśli to możliwe — na maszynie.

Debiut Jana Kocznura

„Pieśń o Zbójniku Proćpaku" Jana Kocznura [1]) jako utwór epicki, należy tematycznie do tego rodzaju poezji, która od Tetmajera i Kasprowicza począwszy, obraca się około t. zw. „mitu zbójnickiego" (Janosikowego).

W motywacji ludowej czyny zbójników otrzymują pełne uznanie i uzasadnienie. Zbójnik, jeżeli kradnie, nie robi tego wyłącznie tylko dla siebie, byłby wtedy bowiem tylko zwyczajnym złodziejem; zbójnik, jeżeli morduje kupców i panów na drogach, czyni to jakby z woli ludu. Tu okradnie bogatych - a gdzie indziej sypie hojnie złotem, aby wesprzeć biedotę wiejską.

Tradycja ludowa przekazuje nam tych zbójników jako ludzi odważnych i zdecydowanych na wszystko. Poeci, opiewając ludowych bohaterów, przekazują nam ich sylwetki w coraz to piękniejszych obrazach. Najbardziej żywotną i fascynującą dotąd jest postać góralskiego zbójnika Podhala, Janosika, opiewana wielokrotnie przez Kazimierza Tetmajera, Jana Kasprowicza - a z poetów współczesnych przez Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego w poemacie p. t. „Janosik z Tarchowej", w poemacie Stanisława Nędzy-Kubińca (drukowanym częściowo we „Wsi"), oraz w najnowszej powieści Jalu Kurka („Janosik"). Nie mniejszą popularnością cieszy się postać Kostki-Napierskiego, wprowadzona ostatnio w poemacie Stanisława Skonecznego. Świadczy to wszystko wymownie, że t. zw. „mit zbójnicki" jest nadal literacko bardzo żywy.

„Pieśń o Zbójniku Proćpaku" Jana Kocznura należy do tego samego rodzaju poezji epickiej. Treścią poematu są losy zbójnika Żywiecczyzny, Jurka Proćpaka. Proćpak jest postacią historyczną, żył w końcu 18 wieku i działał w okolicach Żywca jako przywódca bandy zbójników. Utwór Kocznura można uznać za powieść poetycką. Nikła fabuła poematu, w której wątek erotyczny (miłość Proćpaka do Hanusi, córki gazdy Świątka, prowadząca do nieuzasadnionych a tragicznych powikłań), wysuwa się na plan pierwszy - rozprowadzona w jedenastu pieśniach kosztem niezarysowanego dokładnie społeczno-historycznego tła, powoduje, że poemat konstrukcyjnie nie jest zwarty i jednolity. Owe fragmenty piosenki o Proćpaku według Ludwika Delaveaux - („Hej, Proćpoku, Proćpoku - bydzies ty kiejś na hoku, jak cie złapiom, powiesom, gorole sie pociesom"), niepotrzebnie wstawione są do poematu Kocznura, ponieważ treścią sprzeciwiają się - *albo tradycji ludowej*, albo zasadzie, w myśl której powinien być zbudowany poemat o zbójniku. „Gorole" nie mogą się cieszyć, że ich bohater zawiśnie na szubienicy, bo to sprzeciwia się zasadzie „mitu zbójnickiego". Proćpak, buntujący górali, aby panom nie odrabiali pańszczyzny, na tle ówczesnych stosunków społeczno-politycznych, musi urość na obrońcę uciśnionego ludu. Tylko na tle ówczesnych stosunków społecznych, na tle nierówności klasowej, na tle krzywdy chłopskiej - ukazana postać Zbójnika Proćpaka może liczyć na miano bohatera ludowego.

Te błędy autora powodują, że „Pieśń o Zbójniku Proćpaku", napisana poprawnie regularnym wierszem i poprawnie banalnym językiem poetyckim, nie stanowi poważnej pozycji literackiej, ale mimo to, jako utwór młodego debiutującego poety, poruszający w przystępnej i zrozumiałej formie wierszowej żywotny „mit zbójnicki", może być uznaną za utwór niepozbawiony pewnej wartości artystycznej i zasługujący na życzliwą uwagę.

Józef Andrzej Frasik

[1]) Jan Kocznur - „Pieśń o Zbójniku Proćpaku", Kraków, 1945, nakł. drukarni „Patria", (str. 38+2).

Prenumerata „Wsi" wynosi:

w Łodzi i na prowincji zł 25 miesięcznie; zł 75 kwartalnie; zł 150 półrocznie.

Prenumeratę przyjmują:

W Łodzi:

Redakcja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98;

Dział prenumerat „Czytelnika" ul. Piotrkowska 62, tel. 180-74.

Księgarnia „Czytelnika" ul. Piotrkowska 96, tel. 126-04.

Księgarnia „Czytelnika" ul. Piotrkowska 147, tel. 126-65.

Na prowincji:

Wszystkie agencje pocztowe na konto PKO Oddz. w Łodzi Nr 815 - Kolportaż „Czytelnika", z zaznaczeniem: na „Wieś"

REDAKTOR NACZELNY: Jan Aleksander Król. — KOMITET REDAKCYJNY: Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Olcha Antoni, Piętak Stanisław.
KOMITET TERENOWY: Frasik Andrzej, Nędza-Kubiniec Stanisław, Kubisz Paweł.

REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 96. tel. 1-00-98 Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdz. wydawniczej „Czytelnik".

CENY OGŁOSZEŃ: kolumna zł 60.000 1/2 kolumny zł 30.000, 1/4 kolumny 15.000, 1/8 komumny 8.000 zł, 1/16 kolumny zł 5.000. Drobne ogłoszenia 25 zł. za 1 mm na 1 szpaltę. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tygodn. „Wieś" Łódź, Piotrkowska 96, I p., telefon 1-00-98.

D-06855 Drukarnia Nr 4, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", Łódź, Żwirki 2